

POCARDA KOBIEC LONDÓN



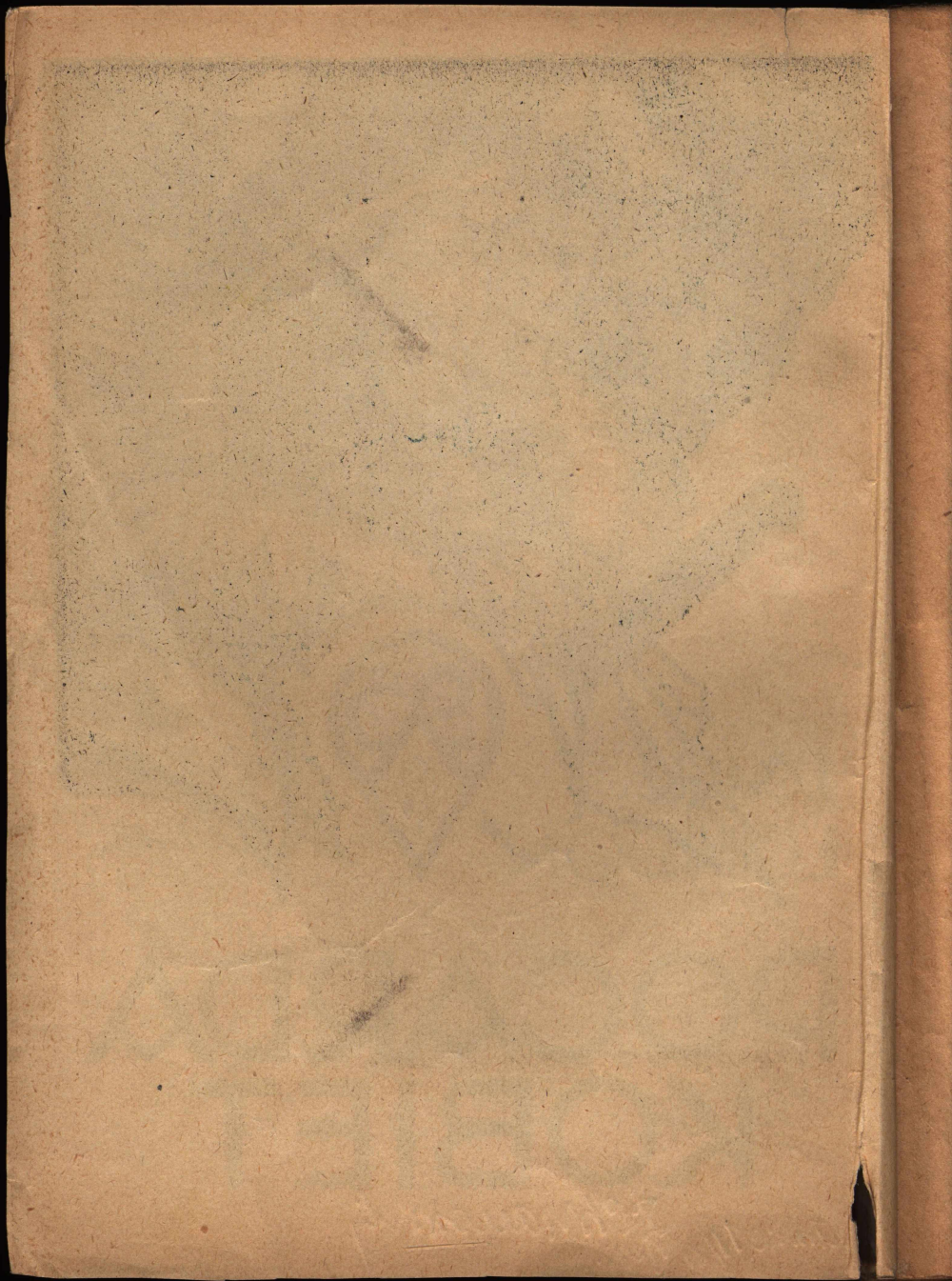
JACK LONDON



Norbliu

POCARDA KOBIEC

Katowice 19/XI.1922. Schmauonny



Handwritten signature

POGARDA KOBIET.

Spis rzeczy:

Śmierć Ligouna.	5
Jutrzenka	20
Władca tajemnic	46
Tysiąc tuzinów	66
Pogarda kobiet	95

Książka ta wydana była pierwszy raz przez
Biblioteką Dzieł Wyborowych
p. t. Miłość Życia tom II.

JACK LONDON

POGARDA KOBIET

Przekład autoryzowany
STANISŁAWY KUSZELEWSKIEJ

WARSZAWA
Towarzystwo Wydawnicze „Rój”

Stanisława Kuszelewskiej
Warszawa 19.XI.1917.

Odbito w drukarni „GRAFIA” w Warszawie,

ŚMIERĆ LIGOUNA

„Krew za krew, godność za godność”
(Z praw plemienia *Thlinkétów*).

— Posłuchaj teraz o śmierci Ligouna. — Mówiący zamilkł, a raczej przerwał zdanie i popatrzał na mnie wzrokiem porozumienia. Podniosłem wobec tego butelkę i trzymając ją pomiędzy naszymi oczyma a ogniskiem, wskazałem palcem, ile wypić wolno. Czyż towarzysz mój nie był Palitlumem, pijakiem? Opowiedział mi już niejedną gadkę, lecz długo czekać musiałem, aż ten niepiśmienny poeta mówić zacznie o czemkolwiek, co dotyczyło Ligouna. Ze wszystkich zaś ludzi północy, wiedział o sławnym wodzu najwięcej.

Przechylił w tył głowę z cichym pomrukiem zadowolenia, który przeszedł w gardłowe bulgotanie. Potwornie wielki cień męskiego torsu, poza olbrzymią przechyloną butlą, zakołysał się i zatańczył na stromej ścianie skalnej, poza naszymi plecami. Palitlum z pieszczotliwym cmoknięciem odjął wargi od szkła i żałośliwie spojrział w górę ku po-

nutremu sklepieniu nieba, na którem grało zwiewne, białe światło letniej zorzy północnej.

— Dziwny płyn — powiedział zwolna. — Zimny jak woda, gorący jak ogień. Daje siłę i siłę odbiera. Starych ludzi czyni młodymi — młodych starymi. Zmęczonemu każe wstać i iść naprzód — świeżego wali z nóg, aby spał. Mój brat miał serce królika, lecz kiedy wypił, ruszał sam na czterech nieprzyjaciół. Ojciec mój był jako stary wilk, co na wszystkich zęby szczyrzy, a przecież kiedy wypił, przestrelili go przez plecy, bo uciekał. Bardzo dziwny płyn.

— To „Trzy Gwiazdki”, lepsza wódka niż te trucizny, któremi tutaj wszyscy zalewacie sobie żołądki — odrzekłem, przesuwając ręką po głębokiej ciemności i drobnych nad zatoką światełkach, które pełgając zdaleka, dawały ziejącej otchłani nocy wymiar i rzeczywistość istnienia.

Palitlum westchnął i pokiwał głową. — Właśnie dlatego jestem tu z tobą — wyznał.

Poczem mnie wraz z butelką objął wspólnym spojrzaniem, które wymowniej niż słowa mówiło o jego bezwstydnym pragnieniu.

— Nie — powiedziałem, umieszczając butelkę między kolanami. Opowiadaj teraz o Ligounie. O „trzech gwiazdkach” pogadamy później.

— Wódki jest dosyć, zmęczony nie jestem — prosił natrętnie. Pozwól tylko dotknąć wargami, a będę ci mówił wielkie słowa o Ligounie i jego dniach ostatnie^t

— „Odbiera siłę pijącemu” — zadrwiłem —
„świeżego wali z nóg, aby spał”.

— Tyś jest mądry — ciągnął Indjanin bez gniewu i bez obrazy. — Mądryś, jak wszyscy bracia twoi. Czy śpisz, czy czuwasz, masz zawsze ze sobą „Trzy Gwiazdki”, a jednak nie widziałem nigdy, żebyś pił [zadługo i zadużo. Dlatego właśnie wy wybieracie złoto z naszych gór i ryby z naszych mórz. Palitlum zaś i jego bracia kopią dla was złoto, czyszczą ryby i są szczęśliwi, jeśli racycie im zezwolić, aby umoczyli usta w cudownym płynie.

— Miałem słuchać o Ligounie — przerwałem niecierpliwie. — Noce są krótkie, jutro czeka ciężki dzień podróży.

Ziewnąłem i udałem że wstaję, lecz Palitlum zaniepokoił się nagle i skwapliwie zaczął mówić:

— Życzeniem było Ligouna, w podeszłych jego latach, aby pokój zapanował pomiędzy plemionami. Zato za czasów młodości był pierwszym pomiędzy wojownikami i najwaleczniejszym wodzem pośród wszystkich wodzów, co zamieszkują Wyspy i Cieśniny. Pełne walk były dni jego. Nikt nie nosił na ciele tyłu blizn od uderzeń kości, ołowiu i żelaza. Posiadał trzy żony, zaś od każdej żony, po dwóch synów. I wszyscy szóstciu — od najstarszego do najmłodszego — polegli w bitwach u boku ojca. W ciągłym niepokoju — wędrował Ligoun stronami świata — na północ ku Unalascie, na południe ku Ouen Charlotte, i powiadali nawet ludzie, że chodził z plemieniem Kakes'ów na daleki Puget

Sound i zabijał tam ludzi w ich obronnych domach.

Jakem rzekł jednak, na stare lata Ligoun zapragnął pokoju pomiędzy plemionami. Nie dlatego żeby obezwładnił go strach, lub zniecił ką u ogniska i pełny garnek strawy. Zabijał bowiem po dawnemu z odwagą i umiejętnością najlepszego wojownika, brzuch wciągał w czasie głodu nie gorzej od najmłodszych, obok najmocniejszego potykał się z górką falą morza, lub stawiał czoło przeciwnościom szlaku. Lecz dnia pewnego, żeby ukarać starego wodza za wszystkie krwawe czyny, zabrał go okręt wojenny i wywiózł do twego kraju, o Włosolicy mieszkańcu Bostonu! Wiele lat minęło, zanim powrócił do nas Ligoun. Ja wyrosłem tymczasem na chłopaka, który już nie był dzieckiem, jeszcze zaś nie był mężczyzną. Ligoun, pozostawszy bezdzietnym na stare lata, upodobał sobie mnie, będąc zaś mądrym, udzielał mi swej mądrości.

— „Słodko jest walczyć o Palitlum”, — mówił. A raczej nie, o Włosolicy, albowiem nie Palitlum zwano mnie onemi czasy, lecz Olo, czyli Wiecznie-Głodny. Pijaństwo przyszło w latach późniejszych. „Słodko jest walczyć” — mówił Ligoun — „lecz głupio”. W kraju białego człowieka nie wolno walczyć z sąsiadem i dlatego kraj ten jest silny. Siła pozwala białym przybywać aż tutaj do nas, do kraju Wysp i Cieśniń, my zaś jesteśmy wobec nich jak dym ogniska, lub mgła ponad morzem. Dlatego też powiadam, iż walka równie słodką jest, jak głupią.

Odtąd głos Ligouna, najkrwawszego z wojowników, przemawiał nieustannie za pokojem. Kiedy zaś starzec doszedł do lat bardzo podeszłych, będąc największym z wodzów i najbogatszym z ludzi — wydał *potlatch*. Nigdy nie widziano w naszym kraju uczty tak wspaniałej. Pięćset czółen przybiło do brzegu rzeki, zaś w każdym czółnie siedziało nie mniej niż dziesięć osób. Osiem plemion przybyło — od najstarszego mężczyzny do najmłodszego dziecięcia. Nie brakło też mężczyzn z odległych plemion, jak również podróżników i wędrowców, którzy zasłyszeli o uczcie Ligouna. Przez dni siedem napełniali goście żołądki swoje mięsiwem i napojami. Osiem tysięcy chust i płacht rozdał plemionom stary Ligoun. Wiem o tem najlepiej, albowiem czyż nie ja właśnie rozdzierałem dary stosownie do wieku i godności zaproszonych. Pod koniec tygodnia Ligoun stał się ubogim człowiekiem; lecz zato imię jego było na ustach wszystkich, inni zaś wodzowie zazdrościli mu, że jest człowiekiem tak znakomitym.

Ponieważ odtąd słowa Ligouna wielką posiadały wagę, począł on głosić pokój; wędrował na każdą uroczystość i na każdą ucztę, zbierał lud wokoło siebie i doradzał im pokój i zgodę. Wędrowaliśmy zawsze wspólnie, Ligoun i ja i razu pewnego zawędrowaliśmy na wielki *potlatch*, wydany przez Niblacka, wodza plemienia Skoot, zamieszkałego niedaleko plemienia Stickeen. Ligoun był wtedy bardzo stary i bardzo bliski śmierci. Dławił

się kaszłem od chłodu powietrza i dymu ogniska, nieraz też ciemna krew płynęła z ust jego, tak, że zdawało się, iż zamrze.

— „Ach, wyszeptał kiedyś w takiej chwili, „lepiej byłoby umierać, gdy krew barwi noże, stal szczęka, proch pachnie, ludzie zaś krzyczą wielkim głosem, przerażeni zimnem żelazem i chybkiem ołowiem”, Widzisz więc, o Włosolicy, iż serce Ligouna wciąż jeszcze tęskniło do boju!

Daleko jest z Chilcat do Skoot, to też długie dni spędziłem w łodziach. I podczas gdy ludzie chylili się nad wiosłami, ja siedziałem u nóg Wodza i przyjmowałem Prawo z ust jego. Niema potrzeby powtarzania ci słów Prawa, o Włosolicy, albowiem wiadomem mi jest, iż znasz je równie dobrze. Będę mówił tylko o prawie „krew za krew, godność za godność”. Ligoun również na dłuższą chwilę zagłębił się w owe wyrazy naszego Prawa.

— „Wiedz bowiem, o Olo”, mówił, „iż niewielką jest chlubą zabić człowieka mniejszej od Ciebie godności. Zabijać należy zawsze człowieka bardziej znakomitego, albowiem chluba zabójcy, równą jest godności zabitego. Jeśli jednak z pośród dwu ludzi, zabijesz posledniejszego, hańbę ściągnąłeś na Swoją głowę i byle kobieta prześmiewać się z ciebie będzie. Mówię raz jeszcze i nie przeczę: słuszną rzeczą jest pokój; lecz jeżeli masz zabić, o Olo, jeśli zabić musisz, zabijaj według prawa”.

— Takim jest dotychczas obyczaj plemienia Thlinketów — objaśnił mi dumnie Palitlum.

Ja zaś wspominać począłem zbójców i zło-
czyńców mego kraju — kraju Zachodu i nie zdzi-
wiło mnie prawo Thlinketów.

— W swoim czasie — ciągnął Palitlum — przy-
byliśmy do kraju wodza Niblacka i plemienia Sko-
otów. Uczta była niewiele mniejsza od uczty Li-
gouna. Z Chilcatu przybyliśmy my, dalej mieszkańcy
Sitki, plemię Stickeenów, sąsiadów Skootów, ple-
mię Wrangłów, oraz Hoonahów. Przybyło plemię
Zachodzącego Słońca, oraz Tahkos z Port Hough-
ton i sąsiedzi ich, plemię Awk z nad Kanału Dou-
glasa. Następnie lud z nad rzeki Naas, oraz lud
Tongas z Północnego Dixonu, oraz plemię Kakes,
które pochodzi z wyspy zwanej wyspą Kuprianow.
Nie brakło też Siwashów z Vancouver, Cassiarów
ze Złotych Gór, mieszkańców Teslin, nie brakło
nawet Sticków z nad Yukonu.

Wielkie to było zbiegowisko. Przedewszyst-
kiem jednak miało ono być zebraniem wodzów
i topieniem zadawnionych swarów w smacznym
kwasie. Sposób przyrządzania kwasu pokazali nam
rosjanie — tak mówił mój ojciec, któremu z kolei
opowiadał to ojciec jego. Do tego kwasu dodał Ni-
black cukru, mąki i suszonych jabłek tak, iż stał
on się napojem męskim i mocnym. Nie tak dobrym
jak „Trzy Gwiazdki”, o Włosolicy, ale przecie nie-
zgorszym.

Kwas podawano jedynie wodzom, wodzów zaś
było ze dwudziestu. Znalazłem się pomiędzy nimi,
albowiem zgodzono się, żeby Ligoun, jako bardzo

stary i wielce znakomity, wspierał się na ramieniu młodzieńca i wzywał jego pomocy, kiedy zapragnie usiąść lub powstać. U drzwi domu Niblacka, domu obszernego i zbitego z krągło-ciosanych pni, każdy gość wedle zwyczaju składał swą dzidę, strzelbę lub nóż. Albowiem jak ci wiadomo, o Włosolicy, mocny napój jątrzy człowieka, stare nienawiści podnieca, głowę i rękę skorymi czyni do walki. Zauważyłem jednak, że Ligoun wziął ze sobą dwa noże, jeden położył na progu, drugi wsunął pod derę, okrywającą ramiona. Inni wodzowie uczynili to samo, więc zdjął mnie niepokój przed tem, co stać się miało.

Wodzów posadzono koliskiem w obszernej izbie. Ja stanąłem u boku Ligouna. Pośrodku stała beczka z kwasem, zaś przy niej niewolnik do podawania napoju. Pierwszy wypowiedział mowę Niblack, pięknymi słowy wyrażając przyjaźń wszystkim. Następnie dał znak, poczem niewolnik, napełniwszy kubek kwasem, podał go Ligounowi, co było słusznem, albowiem Ligoun posiadał godność najwyższą.

Ligoun wypił do ostatniej kropli, wsparł się na mem ramieniu, powstał i z kolei wypowiedział mowę. Mówił przyjaźnie o wszystkich plemionach, wyróżnił wielkość Niblacka, który zgotował oto tak wspaniałą ucztę, doradzał pokój, jak to miał we zwyczaju, na zakończenie zaś dodał, że kwas był znakomity.

Teraz wypił Niblack, jako następny według

godności, poczem pili wodzowie jeden po drugim, wedle wieku i sławy imienia. Każdy przemawiał przyjaznymi słowy, każdy chwalił smaczny kwas, dopóki nie wypili wszyscy. Czy rzekłem „wszyscy”? Nie, nie wszyscy, o Włosolicy. Albowiem ostatnim był pewien wódz, chudy człowiek, giętki niby kot, o twarzy młodej i bystrem, zuchwałem wejrzeniu. Wypił pochmurnie, splunął przed siebie na ziemię i nie wyrzekł ani słowa.

Nie pochwalić kwasu — znaczyło obrazić gospodarza; splunąć na ziemię — znaczyło obrazić go w dwójnasób. Obie te rzeczy uczynił ów człowiek. Znano go jako wodza Sticków z nad Yukonu; poza tem nie wiedziano o nim zgoła nic.

Jakem rzekł, to co uczynił wódz z nad Yukonu, było wielką obrazą. Wiedz jednak, o Włosolicy, iż obraza ta dotykała nie Niblacka, gospodarza domu, lecz wodza najstarszego godnością wśród zgromadzonych. Był nim — Ligoun. Zapadła cisza. Wszystkie oczy patrzyły chciwie, co też uczyni wielki starzec. Nie poruszył się z miejsca. Zwiędłe jego wargi nie otwarły się żadnem słowem, nie drgnęły nozdrza, nie opadła powieka. Dostrzegłem jeno, że twarz ma zamgloną i szarą, jak w gorzkie dni ciężkiego głodu, kiedy umierają starcy, płaczą kobiety i dzieci, zaś niemasz pokarmu, ani wieści o łowach pomysłnych. Tak, jak wyglądają wtedy starcy — wyglądał w tej chwili Ligoun.

Zapadła cisza. Kolisko wodzów siedziało jak martwe, chociaż każdy dotknął nieznacznie broni

swej pod derą i obrzucił okiem postać obu sąsiadów. Ja byłem młodzikiem. Małom rzeczy widział na świecie, lecz tom wiedział napewno, że nadeszła chwila, która nie powtórzy się w życiu poraz drugi.

Wódz Sticków powstał i, dotykany wszystkiemi spojrzzeniami, przeszedł izbę i stanął przed Ligounem.

— „Jam jest Opitsah-Nóż” — wymówił.

Ligoun nie odrzekł nic, nie podniósł nawet głowy, uparcie patrząc w ziemię.

— „Tyś jest Ligoun” — mówił Opitsah. — „Zabiłeś wielu ludzi. Ja żyję jeszcze”.

Wciąż jednak Ligoun nie odpowiadał, chociaż skinął na mnie i przy pomocy mego ramienia stanął wyprostowany. Był jako sosna wiekowa, naga i siwa, lecz zawsze oporna śnieżycom i burzy. Oczu nie zmrużył i tak jak nie słyszał słów Opitsaha, tak zdawał go się teraz nie widzieć.

Opitsah oszalał z gniewu i tańczył przed oczyma starca, nie zginając kolan, jak czynią ludzie, kiedy chcą obrazić. Śpiewał też pieśń o własnej swej wielkości, o wielkości swego plemienia, pełną słów obelżywych dla Ligouna oraz Chilcatłów. Tańcząc i śpiewając, zrzucił Opitsah derę i nożem zataczać począł lśniące koła przed oczyma Ligouna. A pieśń, którą zawodził, była pieśnią Noża.

Nie zabrzmiał żaden dźwięk, prócz śpiewu Opitsaha, zaś wodzowie wciąż jeszcze siedzieli koliskiem jak martwi. Zdawało się tylko, że pobłyski noża zapalają w ich oczach niby dymne o nie,

Ligoun również siedział w milczeniu. A przecież wiedział dobrze, że oto nadeszła śmierć — i nie czuł trwogi. Nóż błyskał bliżej i bliżej przy jego twarzy, lecz oczy nie załopotwały powiekami, postać nie zachwiała się, nie drgnęła.

Wreszcie Opitsah ciał nożem raz i drugi, ot, tak, przez czoło Ligouna i krew trysnęła. Wtedy skinął na mnie Ligoun, abym siłą swej młodości podparł go i poprowadził naprzód. Roześmiał się pogardą ogromną prosto w twarz Opitsaha-Noża. Poczem odgarnął go na stronę, jakby nisko zwisającą gałąź, która przeszkadza przejść.

Wtedy zrozumiałem, iż zabicie Opitsaha byłoby hańbą w obliczu tylu większych wodzów. Przypomniałem sobie Prawo i pojąłem, że Ligoun zabić pragnie wedle Prawa. Któż zaś był w tem kole najgodniejszym po nim samym? Niblack. Ku Niblackowi więc skierował Ligoun swoje kroki, mają podparte młodością. Zaś u drugiego ramienia starca zwisał Opitsah, natrętny i zawzięty, lecz zbyt niegodny, by plamić krwią swoją ręce wielkiego wodza. I chociaż nóż Opitsaha kasał raz poraz, nie dostrzegał tego Ligoun. Tak oto kroczyliśmy we trzech przez pokój ku Niblackowi, który siedział owinięty w derę i drżący z przerażenia. Stare nienawści buchnęły teraz płomieniem i zapomniane urazy ożyły nagle. Lamuk, z plemienia Kaksów pamiętał dotychczas, że brat tego utonął w złej wodzie kraju Stickeenów, Stickeenowie zaś nie zapłacili derami właściwej ceny za złą wodę swego kraju, jak kazał

zwyczaj. Lamuk więc sięgnął długim nożem wprost do serca Klok-Kutza, wodza Stickeenów. Katchahook przypomniał sobie starą zwadę, jaką miało plemię z nad rzeki Naas z plemieniem Tongas z północnego Dixonu. Wobec tego zastrzelił wodza Tongasów z wielkiego pistoletu, uczyniwszy tem hałas wielki i niespodziany. Głód krwi owładnął wszystkimi ludźmi zebranyymi w tej izbie i wódz zabijał wodza, poczem sam padał trupem, jak zrządziły przypadek i szczęście. Nieomal każdy zamierzał się przytem na Ligouna, albowiem zabójca męża tak godnego, zyskałby sławę wielką a niezapomnianą. Rzucali się jak wilki na jelenia, lecz tak byli liczni i tak stłoczeni, że zabijali się wzajem, żeby zdobyć przejście. Zamieszanie uczyniło się wielkie.

Ligoun jednak kroczył zwolna bez pośpiechu, jak gdyby czuł przed sobą długie jeszcze lata. Wydawało się, że jest pewien, iż spełni zabójstwo przykazane prawem, zanim sam polegnie. Szedł więc — jakem rzekł — powoli, noże zaś biły weń gęsto, i zalewała krew. I chociaż nikt mnie nie szukał dla swego ciosu, albowiem byłem nieznacznym młodziekiem, przecież znalazły mnie zabłąkane razy noża i paliły gorące kule. I wciąż jeszcze Ligoun opierał się na mojem ramieniu, Opitsah zaś kąsał nożem i tak posuwaliśmy się we trzech. Kiedyśmy doszli do Niblacka, ten przeraził się i zakrył twarz derą. Skootowie zawsze byli tchórzami.

Tymczasem Goolzug i Kadishan, jeden rybak,

drugi, myśliwy zwarli się o honor swych plemion i wirem straszliwej walki podcięli nagle kolana Opitsaha, który zachwiał się i runął na ziemię. Jakiś nóż gwizdnął w powietrzu i przeszył gardło Skulpina, wodza mieszkańców Sitki. Skulpin rozpostarł ramiona i padając ślepo, pociągnął mnie za sobą na ziemię. Leżąc, widziałem jeszcze jak Ligoun schylił się nad Niblackiem, zdarł z niego dery i twarz tchórza odwrócił ku światłu. Nie okazywał pośpiechu. Ponieważ krew zalewała mu oczy, starł ją uważnie wierzchem ręki, żeby spojrzeć w twarz wroga i upewnić się raz jeszcze. Kiedy się przekonał, że ma przed sobą Niblacka, pociągnął nożem po jego gardle, jak myśliwy ciągnie nożem po gardle rannego jelenia.

Poczem Ligoun stanął wyprostowany, zanucił swą pieśń śmiertelną i słaniać się począł lekko w tył i w przód. Wtedy Skulpin, ten sam, który pociągnął mnie na ziemię, leżąc, wymierzył z pistoletu w głowę Ligouna i dał strzał. Ligoun zachwiał się mocniej i runął, jak chwieje się i pada stara sosna pod ciosem wichru.

Palitlum zamilkł. Oczy jego pałały złowrogo, wpatrzone w ognisko, policzki zciemniały od krwi.

— A ty Palitlum? — zapytałem — a ty?

— Ja? pamiętałem Prawo i zabiłem Opitsaha-Noża, co było słusznem. Poczem wyjąłem nóż Ligouna z gardła Niblacku i zabiłem Skulpina, który mnie ściągnął na ziemię. Byłem młodzieńcem i za-

bijać mogłem każdego, albowiem każde zabojeństwo pomnażało mój honor. Zresztą, Ligoun nie żył, młodość moja i siła nie były już potrzebne, brodziłem więc po izbie z nożem Ligouna i nożowi temu wybierałem mężów godnością najwyższych, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

Palitlum sięgnął w zanadrze i wyjął skórzaną pochwę wyszywaną paciorkami; z pochwy wyciągnął nóż. Był to nóż domowej roboty, prostacko wyostrzony o rzemień; noży takich posiadają niemało starzy myśliwi w setkach wiosek Alaski.

— Nóż Ligouna?—zagadnałem. Palitlum skinął.

— Za ten nóż Ligouna — wyrzekłem — dam ci dziesięć butelek wódki „Trzy Gwiazdki”.

Lecz Palitlum popatrzał na mnie przeciągle.

— Włosolicy, posłuchaj, słaby jestem jak woda, łatwy jak kobieta. Zatrąłem ciało swe kwasem, wódką i „hoochem”. Oczy moje straciły bystrość, uszy czujność, siła moja zmieniła się w tłuszcz. Nie mam już honoru w dni obecne i zowią mnie Palitlum, Pijak. A przecież posiadałem honor w dzień uczty Niblacka nad rzeką Skoot, i pamięć dnia tego, pamięć Ligouna, jest mi drogą. Nie, gdybyś całe morze przemienił w wódkę „Trzy Gwiazdki” i obiecał, że mojem będzie za nóż Ligouna — przecież bym nóż ten zachował. Jestem dziś Palitlum, Pijakiem, lecz kiedyś byłem Olo, Wiecznie-Głodnym, który samego Ligouna wspierał swą młodością.

— Jesteś wielkim człowiekiem, o Palitlum —
powiedziałem—i godnym mego szacunku. Palitlum
wyciągnął rękę.

— Za opowiedzianą historję butelka wódki
będzie moja — wyrzekł.

I kiedy spojrzałem na ścianę skalną poza
naszemi plecami, ujrzałem cień męskiego torsu,
potwornie wielki pod olbrzymią przechyloną butlą.

JUTRZENKA

Lon Mc Fane był zły, ponieważ zgubił swój woreczek z tytoniem. Gdyby nie ta okoliczność, pewien jestem, że nie omieszkałby uprzedzić mnie o tem, co zastać miałem w chacie przy Jeziorze Niespodzianek. Dzień cały zmienialiśmy się kolejno na stanowisku przodownika, torującego nartami drogę dla psów. Była to praca bardzo ciężką i nie zachęcająca do rozmów, coprawda jednak Lon Mc Fane mógł powiedzieć kilka słów, korzystając z południowego odpoczynku, kiedy zatrzymaliśmy się, żeby zagotować kawy. Nie uczynił tego jednak. Jezioro Niespodzianek? Raczej owa chata stała mi się naprawdę Chatą Niespodzianki. Nigdy nie słyszałem o niej poprzednio. Wyznaję, że dnia tego byłem nieco zmęczony. Czekałem, żeby Lon zatrzymał się i zaproponował rozłożenie obozu; miałem jednak zbyt wiele dumy, żeby proponować to pierwszy, lub nawet pytać o zamiary towarzysza; a przecież był on moim pomocnikiem, za dobrą pensję obowiązany poganiać moje psy i słuchać mych

rozkazów. Nie kryję, że sam byłem również trochę zły dnia tego. Lon nie mówił nic, ja zaś postanowiłem też nic nie mówić, gdybyśmy nawet wędrowali całą noc.

Chata ukazała się zupełnie niespodzianie. Przez cały tydzień podróży nie widzieliśmy żadnego ludzkiego osiedla i pewien byłem, że nie zobaczymy jeszcze przez dobry tydzień. A [przecież stała oto, tuż przed moimi oczyma, z mglistym światłem w oknie i pasemkiem dymu u komina.

— Dlaczegoś mi nie mówił — zacząłem, lecz Lon odmrugnał, przerywając;

— Jezioro Niespodzianek? — leży skąpo licząc o pół mili stąd. Tutaj jest tylko małe jezioro bez nazwy.

— Tak, ale ta chata... Kto w niej mieszka?

— Kobieta — zabrzmiała odpowiedź, poczem Lon zastukał do drzwi, zaś głos kobiety odrzekł: „wejść”.

— Widzieliście może Dava? — zapytała mieszkanka chaty.

— Nie — odrzekł Lon niedbale. — Byłem w innych stronach. Dave pojechał przecież do Dawson, nie?

Kobieta skinęła głową, Lon zaczął odpręgać psy, ja zaś zdjąłem toboły z sani i wniosłem statki obozowe do izby. Chata była obszerną, jednoizbową mieszkaniami, kobieta najwidoczniej mieszkała tu sama. Wskazała nam piecyk, na którym gotowała się woda; Lon rozpoczął przygotowania

do wieczerzy, ja zaś otworzyłem koszyk z rybami i nakarmiłem psy. Czekałem, aż Lon nas zapozna i wściekły byłem, że tego nie czyni. Znał ją widocznie oddawna.

— Ty jesteś Lon Mc Fane, prawda? — usłyszałem pytanie kobiety. — Pamiętam dobrze. Ostatni raz widziałam was na jakimś parowcu, czy tak? Pamiętam...

Słowa jej zamarły nagle, jakby pod lodowatym powiewem wspomnienia pełnego grozy. Widziałem, jak groza ta wstała w jej oczach. Ku memu zdziwieniu, słowa i wyraz twarzy kobiety, uczynił na Lonie silne wrażenie. Minę miał rozpaczliwie zakłopotaną, kiedy uprzejmie a nawet serdecznie odpowiedział:

— Ostatni raz spotkaliśmy się w Dawson, podczas jubileuszu, w dniu urodzin Królowej, czy na jakiejś innej uroczystości w tym rodzaju — pamięta pani? — wyścigi łódek na rzece i biegi z przeszkodami na głównej ulicy?

Zgroza znikła z oczu kobiety, ciało jej pozbyło się jak gdyby nieznośnego naprężenia.

— O, tak — odrzekła — pamiętam dobrze. Pan wygrał wtedy jeden wyścig łódek.

— Jakżeż się udał następny bieg Dawidowi? Doskonale, jak zwykle, co? — zagadnął Lon z pozornem zainteresowaniem.

Uśmiechnęła się i skinęła powiekami, poczem zauważywszy, że rozwinąłem pościel, wskazała mi

kąt pokoju, gdzie mogę ją rozesłać. Jej własna pościel była już rozesłana w przeciwnym rogu izby.

— Myślałam, że to jedzie Dave, kiedy po-
słyszała wasze psy — powiedziała kobieta.

Poczem zamilkła, zadawałając się patrzaniem na czynności kucharskie Lona i nad słuchując co chwila, jakby odgłosów jadącego po drodze zaprzęgu. Rozciągnąłem się na wznak na derach, zapaliłem papierosa i obserwowałem ciekawie. Kryła się tu niewątpliwie jakaś tajemnica. Tyle tylko rozumieć mogłem. Więcej nic. Czemu u licha, Lon nie raczył wspomnieć ani słówka o tem, co mieliśmy tu zastać? Patrzałem nieznacznie na twarz kobiety; im dłużej patrzałem jednak, tem trudniej mi było oderwać oczy. Cudownie piękną, rzec można niezmierną twarz, prześwieślał jakby przedziwny odblask, lub może wyraz nieznany synom ziemi. Strach i zgroza uleciały z niej bez śladu, pozostawiając lica niezmaczenie, spokojne piękne, jeśli „spokojem” nazwać wolno to nieuchwytnie a tajemnicze, czego nie ośmielałem się ustalić, ani jako „światło”, ani jako „wyraz”,

Nagle, jak gdyby dostrzegłszy mnie w tej chwili po raz pierwszy, kobieta uświadomiła sobie moją obecność.

— Nie widział pan Dawida temi czasy? — zapytała mnie wprost. Już zagadnąć miałem: „Jakiego Dawida?”, kiedy Lon kaszlnął nagle w dymie wędzonki. Może przyczyną tego kaszlu była istotnie

przypalona wędzonka, ja jednak wziąłem to za ostrzeżenie i nie wypowiedziałem swego pytania.

— Nie, nie widziałem — odrzekłem tylko. — Niedawno jestem w tej części kraju.

— Ale nie chce pan chyba powiedzieć przez to, że pan nigdy nie słyszał o Dave — o Wielkim Dawidzie Walsh?

— Widzi pani — tłumaczyłem się — jestem tu zupełnie świeżym przybyszem. Przeważnie pracowałem w Dolnym Kraju, na drodze do Nome.

— Proszę mu opowiedzieć o Dawidzie — rozkazała kobieta Lonowi.

Lon zdawał się być wyprowadzony z równowagi, rozpoczął jednak tym samym, co przed chwilą uprzejmym, a nawet serdecznym głosem. Trochę może nawet zbyt serdecznym, co mnie rozgniewało.

— O, Dawid jest pięknym mężczyzną, prawdziwym mężczyzną w każdym calu. Sięga sześciu stóp wzrostu, stojąc bez butów. Jego słowo warte jest tyleż, co jego weksel. Skłamałby ten, ktoby Dawidowi zarzucił kłamstwo, a co gorsze, miałby ze mną do czynienia, gdyby naturalnie coś jeszcze z niego zostało po przejściu przez ręce Dawida. O, bo Dawid bić się umie! Jest też pysznym myśliwym. Ustrzelił kiedyś burego niedźwiedzia ze zwykłej, małej strzelbki 38. Trochę go zwierz podrapał, ale Dave wiedział, co robić. Zakradł się aż do jaskini, żeby zdobyć tego misia. Wogóle, nie bał się niczego. Hojny i nawet rozrzutny, kiedy miał pieniądze, potrafił oddać towarzyszowi ostatnią koszulę i ostat-

nią zapalkę, kiedy zdarzą się kiepskie czasy. Trzy tygodnie temu znalazł pyszną odkrywkę przy Jeziorze Niespodzianek i wydobyl z niej okrągłe dzięćdziesiąt tysięcy — wszak prawda?

Kobieta zarumieniła się i potwierdziła z dumą. Każdego słowa Lona słuchała z najczujniejszym zainteresowaniem.

— Nie mogę też nie dodać, że ogromnie się zmartwiłem, nie zastawszy go tutaj dziś wieczorem.

Lon podał wieczerzę na jednym końcu stołu z nieheblowanej sosny i zabraliśmy się do jedzenia. Szczekanie psów przywołało kobietę do drzwi. Roztworzyła je na pół cala i nadśluchiwała w milczeniu.

— Gdzie jest Dave Walsh? — zapytałem półgłosem.

— Nie żyje — odrzekł Lon. Może jest w piekle, lichy go wie. Milcz-no.

— Więc czemuś mówił przed chwilą, że spodziewałeś się zastać go tutaj dziś wieczorem? — Spróbowałem jeszcze.

— Och, czyż doprawdy nie możesz zamilknąć? — odrzucił Lon niecierpliwym szeptem.

Kobieta zamknęła drzwi i wróciła na swoje miejsce, ja zaś siedziałem cicho i medytowałem nad tem, że ten człowiek, który kazał mi milczeć, pobiera ode mnie ni mniej ni więcej tylko dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie prócz utrzymania.

Lon zmywał naczynie, podczas gdy ja paliłem papierosa i spoglądałem na kobietę. Wydała mi się jeszcze piękniejszą niż przedtem, chociaż przyznaje,

że była to piękność dziwna, jakby zaczarowana. Nie oderwawszy od niej oczu przez dobre pięć minut, musiałem spojrzeć później na Lon Mc Fane; wtedy dopiero uwierzyć byłem zdolny w istnienie tej kobiety w świecie rzeczywistości. Poprzednio uważałem ją za żonę Dawida Walsh; skoro jednak Lon powiada, że ów Dawid nie żyje, musi to być wdowa po nim.

Wcześniej udaliśmy się na spoczynek, albowiem dzień następny miał być ciężkim dniem podróży. Kiedy Lon otulił się kołdrą tuż obok mnie, odważyłem się spytać:

— Ta kobieta jest obłąkana, co?

— Obłąkana — odrzekł.

I zanim zdołałem sformułować następne pytanie, Lon Mc Fane — przysięgam — już zasnął. Miał zawsze takie nieznośne przyzwyczajenie: zaledwie wpęzł pod kołdrę, zamykał oczy i poczynął sapać krótkim, ciężkim wydechem. (Nie chrapał nigdy).

Nad ranem: pospieszne śniadanie, ładowanie sani, wyruszenie w drogę. Powiedzieliśmy kobiecie „do widzenia”, ona zaś stanęła we drzwiach i patrzyła nam w ślad. Zabrałem ze sobą wizję nieziemskiej piękności, czułem ją tuż pod powiekami, i wystarczyło mi zamknąć oczy, żeby natychmiast ujrzeć jasne lica. Szlak był nietorowany, gdyż Jezioro Nie spodzianek nie leżało na żadnej z dróg utartych, obaj więc z Lonem musieliśmy kolejno iść przed zaprzęgiem i ugniatać puszysty śnieg szerokiemi, błoniastymi nartami, żeby psom umożliwić przeje-

ście. „Mówiłeś przecie, żeś się spodziewał spotkać Dawida Walsha” w chacie. — To zdanie miałem na ustach że dwadzieścia razy, a jednak go nie wyrzekłem. Czekałem na postój południowy. Lecz kiedy nadszedł środek dnia, poszliśmy dalej, nie rozkładając ogniska, gdyż, jak objaśnił Lon, przy rozgałęzieniu rzeczki Teelee znajduje się obóz myśliwych, polujących na jelenie, warto więc dojść tam przed zmrokiem i wygodniej odpocząć. Nie doszliśmy tam jednak przed zmrokiem, albowiem Bright, pies-przewodnik, złamał sobie przednią nogę, i straciliśmy nad nim całą godzinę, zanim zdecydowaliśmy się go zastrzelić. Potem, mijając zator z pni na zmarzłym łożysku Teelee, wywróciliśmy sanki tak niefortunnie, że trzeba było zrobić postój i naprawiać płozy. Ja gotowałem wieczerzę i karmiłem psy, Lon zajął się reperacją. Potem wspólnie zrobiliśmy zapas drzewa na noc. Wreszcie zasiedliśmy spokojnie przy ognisku na derach, kurząc wieczorną fajeczkę. Zadarte końce mokasynów parowały zlekka.

— Nie znałeś jej przedtem? — zagadnął nagle Lon. Potrząsnąłem głową.

— Zauważyłeś kolor jej oczu i włosów? Zauważyłeś wiotkość i smukłość? Dostała odpowiednie przezwisko: nazwano ją Jutrzenką. Była doprawdy jak pierwszy ciepły błysk złocistej jutrzenki. Czyżbyś nigdy o niej nie słyszał?

W głębi pamięci odnalazłem istotnie jakieś dawne i zamglone wspomnienie tego imienia. Jed-

nak nie wiązało się ono z niczem więcej. — „Jutrzenka“? — powtórzyłem — to brzmi trochę jak przezwisko tancerki z music-hall'u.

— Nie — zaprzeczył Lon. — Ona była uczciwą dziewczyną, w każdym razie w tem najpospolitszem znaczeniu tego słowa. ⁶Pomimo to bowiem — grzeszyła ciężko.

— Dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym, jak o umarłej?

— Dlatego, że ciemność duszy, w jakiej żyje teraz, nie jest lżejsza od ciemności śmierci. Jutrzenka, którą znałem ongiś, którą znało Dawson i Czterdziesta Mila — nie istnieje. To nieprzytomne stworzenie, któreśmy widzieli zeszłego wieczoru, nie jest dawną Jutrzenką.

— A Dawid? — zagadnąłem.

— Dawid właśnie zbudował tę chatę — odrzekł Lon. — Zbudował dla niej... i dla siebie. Umarł. Ona czeka tu na niego. Napół wierzy, że on żyje. Kto zresztą wiedzieć może, co się dzieje w obłąkanym mózgu? Może ona wcale nie wątpi, że Dawid żyje? Tak, czy inaczej, czeka na niego w chacie, którą on postawił.

Któż ożywi umarłych? Któż zresztą ocuci żywego, który nie żyje? Nie ja w każdym razie. Dlatego też wolałem mówić, że się spodziewałem spotkać Dawida Walsha zeszłego wieczoru. Pewien jestem zresztą, że ja sam ździwiłbym się bardziej niż Jutrzenka, gdybym spotkał Dawida,

— Nic nie rozumiem — powiedziała niecierpliwie. — Zaczynaj od początku, jak na białego przysłało i opowiedz mi całą tę historję.

— Victor Chauvet był starym francuzem — rozpoczął Lon — urodzonym na południu Francji. Przybył do Kalifornji w najbardziej złotodajnym czasie. Był jednym z pionierów. Nie znalazł co prawda złota, ale zato został szafarzem słońca w butelkach, czyli poprostu sprzedawcą wina. Posuwał się w ślad za falami ludzkimi, pędzonymi gorączką złota. W ten sposób znalazł się na Alasce już bardzo dawno, przebył przełęcz Chilcoot i wędrował z biegiem Yukonu, zanim jeszcze Carmack znalazł swoją olbrzymią odkrywkę. Tereny obecnego miasteczka Dziesiątej Mili należały ongiś do Chauveta. On też zawiózł pierwszą pocztę do Arctic City. On to przed laty dwunastu natrafił na kopalnie węgla nad rzeczką Porcupiną. On wspomógł żywnością wyprawę Loftus do kraju Nippenuch. Los chciał, aby Victor Chauvet, zagorzały katolik, kochał dwie tylko rzeczy w życiu: wino i kobietę. Wina ubóstwiał wszelkie, kobietę jedną tylko. Ona właśnie była matką Marji Chauvet.

W tem miejscu jęknąłem głośno, zorjentowawszy się nagle i mimowoli, że oto takiemu człowiekowi płacę dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

— O co chodzi? — przerwał sobie Lon.

— Jakto o co chodzi? Myślałem, że opowiadasz historję Jutrzenki. Wcale nie mam zamiaru

wysłuchiwać biografji jakiegoś starego francuskiego opoja.

Leon spokojnie zapalił fajeczkę, zaciągnął się porządnie, poczem odłożył fajkę na bok.

— Przecież prosiłeś, żebym zaczął od początku — powiedział.

— Ma się rozumieć — odrzekłem.

— Otóż właśnie na początku Jutrzenki jest ten stary opoj francuski, on bowiem był ojcem Marji Chauvet, zaś Marja Chauvet była Jutrzenką. Czegóż chcesz więcej?

Victor Chauvet nigdy nie miał tego szczęścia, żeby o nim wiele mówiono. Dbał o to żeby żyć, prosperować i pielęgnować małą Marję, podobną do jedynej kobiety, którą kochał. Pieścił córkę bardzo i starał się, żeby niczego jej nie brakło. On to właśnie przezwał ją Jutrzenką. Jej imieniem nazwał też potem rzeczkę i rozległe tereny. Stary miał dużo ziemi, ale nie mógł jakoś doczekać się, żeby znaleziono na niej żyłę i założono osadę.

— No, a teraz powiedz uczciwie — przerwał sobie raptownie Lon ze zwykłą zmiennością — przyrzalesz jej się dobrze, cóż o niej myślisz?

— Cudownie piękna — odrzekłem. — Nie widziałem w życiu nic podobnego. Nie mogłem wczoraj oderwać oczu, chociaż już przypuszczałem że jest obłąkana. Nie patrzyłem z ciekawości, tylko z zachwytu. To cud, prawdziwy cud, dziwna, niesamowita uroda,

— Jeszcze piękniejszą była w zdrowiu—mówił cicho i miękko Lon. — Robiła naprawdę wrażenie złotej Jutrzenki. Zawracała głowy i serca wszystkich mężczyzn. Przypomniała sobie teraz z wysiłkiem, że wygrałem kiedyś wyścigi łodzi w Dawson — ja, którym ją kochał wtedy i któremu ona też mówiła o swej miłości! Żaden mężczyzna nie mógł nie pokochać tej urody. Gdyby była otrzymała jabłko Parysa, nie doszłoby do żadnej wojny Trojańskiej, a na dobitkę Parys zakochałby się sam. Lecz teraz żyje w ciemnościach, i ona — ta wiecznie zmienna — poraz pierwszy jest wierna, wierna cieniowi umarłego, o którego śmierci nie wie.

Było to tak: Pamiętasz, com mówił o Dawidzie, Wielkim Dawidzie Walsh? Był tem wszystkim, i był czemś więcej jeszcze, o tak, czemś stokroć więcej. Przyjechał na Północ w osiemset osiemdziesiątym którymś, to znaczy należał do pionierów. Miał wtedy lat dwadzieścia. Był młodym siłaczem. Mając dwadzieścia pięć mógł podnieść prosto z ziemi trzynaście worków mąki po pięćdziesiąt funtów. Każdej jesieni wyganiał go z kraju głód. Kraj był jeszcze pusty owemi czasy. Ani parowców na rzece, ani dowozu żywności, nic, prócz łososi i królików. Dawid uciekał przed głodem trzy zimy z rzędu, na czwartą jednak zdecydował, że uciekać nie będzie. I pozostał. Żywił się wyłącznie mięsem, o ile zdołał je upolować. Zjadł tej zimy jedenaście psów, ale pozostał; Pozostał też następnej zimy i jeszcze następnej. Nigdy już nie opuścił

północy. Byk, młody, wspaniały byk, powiadam ci. Wytrzymałością w pracy pobili by każdego. Na plecy brał więcej, niż Indjanin z Chilcat, wiosłował lepiej niż Stick, mógł cały dzień iść z przemoczonemi nogami przy pięćdziesięciu stopniach mrozu. Wszystko uchodziło mu na sucho. Mybyśmy odmrozili nogi już przy dwudziestu pięciu, gdybyśmy zmokli i próbowali iść, nie wyschnąwszy.

Dave Walsh był prawdziwym siłaczem. A przecież serce miał miękkie. Każdy mógł go wzruszyć, ostatni ciura potrafił wyludzić mu z kieszeni ostatniego dolara. „To mi nic nie przeszkadza” — miał zwyczaj wysmiewać się sam z własnej dobroduszości. — „Wcale z tego powodu gorzej nie sypiam”. Nie myśl jednak, żeby Dave był niedołęga. Pamiętasz, co mówiłem o polowaniu na niedźwiedzia z małą strzelbką? Kiedy przychodziło do walki, Dave bywał niezwycięzony. Ze słabymi postępował miętko i łagodnie, ale silny musiał zbierać manatki, jak tylko pokazał się Dave. Był mężczyzną, którego lubią mężczyźni, co jest już pochwałą największą.

Dave wziął udział w wielkiej wędrówce na Dawson, kiedy Carmack odkrył pokłady nad Bonanzą. Był już wtedy w tych stronach, pracując nad strumieniem Mammon. Wymyślił sobie na czysto osiemdziesiąt cztery tysiące jednej zimy i rozkopał resztę swego terenu tak, że na następną zimę mógł liczyć na dobre kilkadziesiąt tysięcy. Z nadejściem wiosennych roztopów, rzucił robotę i powędrował

sobie w górę Yukonu ku Dawson, żeby zobaczyć jak wygląda odkrywka Carmacka. Wtedy właśnie poznał Jutrzenkę. Pamiętam ten wieczór. I nie zapomnę. Dreszcz przechodzi na samą myśl, jak ten ogromny, silny mężczyzna stał się nagle potulny niczem baranek od jednego spojrzenia takiej słabej, wiotkiej, jasnowłosej istoty, jak Jutrzenka.

Było to w chacie jej ojca, starego Wiktora Chauvet. Jakiś przyjaciel sprowadził tu Dawida, dla porozumienia się co do terenów nad strumykiem Mammon. Ale Dave niewiele na ten temat powiedział, to zaś, co powiedział, niewiele miało sensu. Powiadam ci, widok Jutrzenki odebrał zupełnie rozum Dawidowi. Stary Chauvet twierdził później, że Dave był pijany tego wieczoru. Pijany był istotnie, lecz dziewczyna była tem mocnem winem, które go upoiło.

Pierwsze spojrzenie zdecydowało o wszystkim. Dave nie ruszył z biegiem Yukonu w tydzień później, jak miał zamiar. Został miesiąc, dwa miesiące, całe lato. My zaś, których to w serce raniło, rozumieliśmy wszystko i przyglądaliśmy się, co też z tego będzie. Nie ulegało wątpliwości—zdaniem naszym— że tym razem Jutrzenka spotkała swego władcę i poskromiciela. Czemuż-by nie? Aureola romantyzmu otaczała Dawida Walsha. Znalazł wielką odkrywkę nad rzeką Mammon, uważany był za jednego ze złotych króli Północy. Prócz tego był wygą, „chłopcem z kwaśnego ciasta”, jednym z najstarszych pionierów. Mężczyźni oglądali się, kiedy

przechodził i mówili uroczystym szeptem: „Patrzcie oto idzie Dave Walsh”. Ech, a poza tem! Przecież wyrósł na sześć stóp i cztery cale. Sam miał złote włosy, falujące na karku. Był niczem młody lew, młody lew z grzywą ze złota. I skończył właśnie lat trzydzieści.

Tak, pokochała go Jutrzenka. Przettrzymała go coprawdą w wiernych zalotach calutkie lato, lecz na jesieni raczyła wyrazić zgodę. Koniec ciepłego sezonu nadchodził, Dave musiał wracać na zimę do pracy nad rzekę Mammon, tymczasem Jutrzenka odmówiła przyspieszenia ślubu. Dawid polecił Burnowskiemu Duski swoje sprawy nad Mammon Creek, sam zaś zwlekał w Dawson. Wszystko na nic. Dziewczyna życzyła sobie zachować swobodę jeszcze przez czas pewien. Oświadczyła, że się tego nie wyrzeka, i że wyjdzie za mąż dopiero w przyszłym roku. Tak więc, Dawid Walsh sam jeden ze swym zaprzęgiem ruszył z pierwszym lodem wzdłuż Yukonu, otrzymawszy obietnicę, że zaślubiny odbędą się natychmiast, jak tylko pierwszym parowcem wiosennym powrócić będzie mógł do Dawson.

Dave był stały, niczem gwiazda Polarna, naręczona zato była niewierna, jak igła kompasowa położona koło magnesu. Stałość Dawa, równała się zmienności dziewczyny i — o dziwo, Dave, który ufał wszystkim, nie ufał kochanej kobiecie. Może była to zazdrość zakochanego, może przeczucie prawdy; tak czy inaczej, Dawida dręczyła trwoga przed niestałością Jutrzenki. Bał się zaufać jej aż

do wiosny, jak chciała umowa. Wogóle podobno stracił był w tym czasie cały swój dawny spokój i równowagę. Słyszałem coś niecoś od starego Chauveta i wywnioskowałem, że przed wyjazdem Dawida na północ musiało odbyć się pomiędzy młodymi coś w rodzaju sceny. Dawid przyprowadził dziewczynę przed ojcowskie oblicze i oświadczył, że są zaręczeni. Minę miał nader dramatyczną i ogień w oczach, jak opowiadał mi później stary. Dawid powiedział nawet coś w rodzaju: „Nie opuszczę cię, aż do śmierci”; stary Wiktor zapamiętał zwłaszcza, że w pewnej chwili Dawid ujął dziewczynę za ramiona swojemi wielkimi łapami, potrząsnął i wyrzekł: „Moja jesteś do śmierci i po śmierci. Gdybyś mnie zdradziła, wstałbym z grobu, żeby cię napiętnować”. Stary Wiktor doskonale pamiętał te słowa. Podobno Jutrzenka była porządnie nastrozona, to też ojciec wziął potem junaka na stronę i tłumaczył mu, że w ten sposób nie zdoła przywiązać do siebie dziewczyny, że z Jutrzenką trzeba powolutku i delikatnie, jeżeli chce zapewnić sobie jej wierność.

Pewien jestem, że dziewczyna była mocno przestraszona. Sama traktowała coprawda mężczyzn z całym okrucieństwem, mężczyźni jednak postępowali z nią zawsze jak z istotą nadziemską, której nie można tknąć najlżejszą brutalnością. To też nie wiedziała, co znaczy nawet stanowczy ton głosu, dopóki Dave Walsh, ten młody lew olbrzymiego wzrostu nie położył łap na jej wiotkiem ramieniu

i nie powiedział poprostu że ją sobie bierze na własność „do śmierci i po śmierci”.

Tej zimy przybył do Dawson pewien muzyk — jeden z tych czarno-włoskich, ognisto-okich tenorów w typie „makaroni” — i Jutrzenka zakochała się jak szalona. Może zresztą była tylko zadurzona — niewiem. Czasami zdaje mi się, że naprawdę kochała tylko Dawida Walsha. Kto wie zresztą? Może właśnie jego dramatyczność w stylu „aż-do-śmierci” i „wstanę-z-grobu” odsunęła odeń dziewczynę i pchnęła w ramiona muzyka. Zresztą, to wszystko przypuszczenia, fakt zaś pozostaje faktem. Muzyk nie był zresztą przybłądą, był jakimś arystokratą rosyjskim, hrabią zdaje się. Muzyki nie traktował jako fach zarobkowy. Grał sobie na fortepianie, na skrzypcach i śpiewał — śpiewał doskonale — ale tylko dla przyjemności własnej i słuchaczy. Pieniądzy miał w bród, przy okazji zaś muszę zaznaczyć, że Jutrzenka ani trochę nie dbała o pieniądze. Była lekkomyślna, to prawda, ale nigdy wyrachowana.

Posłuchaj dalej. Dziewczyna była narzeczoną Dawida, Dawid zaś miał przybyć po nią do Dawson pierwszym wiosennym parowcem. Tego roku — 1898 — pierwszego parowca należało oczekiwać koło połowy czerwca. Jutrzenka bała się złamać słowo Dawidowi i spotkać go potem. Uplanowała więc wszystko zawczasu. Rosyjski hrabia był jej najpokorniejszym niewolnikiem. Wiem, że cały plan powzięła sama. Dowiedziałem się potem wielu rzeczy od starego Wiktora Chauvet. Hrabia, słuchając roz-

kazów dziewczyny wsiadł na pierwszy parowiec, odchodzący z Dawson w dół rzeki. Był to *Golden Rocket*. Jutrzenka wsiadła również. Wsiadłem też ja. Jechałem do Circle City i byłem zdumiony, spotkawszy Jutrzenkę na pokładzie. Na liście podróżnych nie było jej nazwiska. Rosyjski hrabia nie odstępował jej — szczęśliwej i uśmiechniętej — i widziałem, że w spisie podróżnych umieszczony jest „z żoną”. A jakże, imię, nazwisko, numer kajuty — wszystko. Nie słyszałem nigdy, żeby był żonaty. Nie widać było zresztą tej żony na statku, chyba... chyba, że jest nią Jutrzenka.

Może wzięli ślub w Dawson, przed wejściem na statek? Ale nie, mówionoby o tem w mieście. Podobno już nawet robiono zakłady, czy hrabia odbije pannę Dawidowi.

Zapytałem kasjera. Wiedział tyleż, co i ja. Nie znał zresztą wcale Jutrzenki, przedewszystkiem zaś był półprzytomny z przepracowania. Wiesz, co się dzieje na yukońskich parowcach i możesz sobie wyobrazić co się dziać mogło na *Golden Rocket* w czerwcu 98 roku! Istny ul. Będąc pierwszym statkiem po długiej i ciężkiej zimie, wywoził wszystkich chorych na szkorbut i wogóle wszelkie ludzkie odpadki szpitalne. Nie wątpię też, że wiózł ładne kilkadziesiąt milionów piasku i czystego złota, nie mówiąc już o pasażerach kajutowych, pokładowych, indyjskich *squaw* i nieskończonej ilości psów. Prócz tego, bagaże i towary obciążały i zanurzały statek do ostatnich możliwych granic. Cała góra skrzyń, kosztów

i tobołów piętrzyła się na dolnym przednim pokładzie. Na każdej przystani doładowywano nowe. W Teelee Portage wniesiono wielką, drewnianą skrzynię. Wiedziałem co przewozi się na północy w podobnych skrzyniach, nie mogłem jednak przewidzieć, jaki as atutowy tkwi w tej właśnie skrzyni. Tragarze umieścili ją na samym wierzchu bagażowego stosu, na dolnym przednim pokładzie. Musieli umieścić ją niedość solidnie. Pomocnik kapitana miał zapewne zamiar powrócić jeszcze i kazać poprawić, ale widocznie zapomniał o tem w nawale zajęć. Zdawało mi się przez chwilę, że znam tego wielkiego psa, który skoczył natychmiast na górę tobołów i legł tuż przy skrzyni. Niedługo potem wymiñaliśmy *Glendale*, który zdążył do Dawson. Kiedy statki zamieniały pozdrowienia, nie mogłem oprzeć się myśli o Dawidzie Walsh, który spieszył tym właśnie parowcem po narzeczoną. Odwróciłem się i popatrzałem na Jutrzenkę, stojącą u burty. Spojrzenie miała jasne, lecz nieco trwożliwym ruchem tuliła się do hrabiego, jakby szukając obrony. Nie miała potrzeby szukać tej obrony. Co do mnie zaś, zupełnie niepotrzebnie myślałem w tej chwili o jadącym do Dawson po rozczarowanie Dawidzie. Albowiem Dawida Walsh na *Glendale* nie było. Nie wiedziałem tego jednak. Nie wiedziałem też innych rzeczy, których za chwilę dowiedzieć się miałem — na przykład, że zakochana para nie była jeszcze zaślubiona. W pół godziny po minięciu *Glendale* rozpoczęto przygotowania do obrzędu zaślubin. Z po-

wodu wielkiego natłoku na statku, oraz mnóstwa chorych w ogólnej kajucie, zdecydowano, iż miejscem najstosowniejszem dla odbycia uroczystości będzie właśnie dolny, przedni pokład, a raczej niewielka wolna przestrzeń koło burty, osłoniąca spiętrzoną stosem bagażą, z wielką, drewnianą skrzynią na ich wierzchu i śpiącym obok skrzyni psem. Na pokładzie znajdował się misjonarz, ale jechał tylko do Eagle City, czyli do następnej przystani, wobec czego młoda para zmuszona była korzystać z usług jego jak najprędzej. Widzisz teraz, co sobie uplanowali! Ślub na statku.

Ale wracajmy do faktów. Wiesz, dlaczego Dawid Walsh nie znajdował się na *Glendate*? Dlatego poprostu, że znajdował się na *Golden Rocket*. Stało się to w sposób następujący: Przedłużywszy swój pobyt w Dawson z powodu dziewczyny, Dawid udać się musiał nad rzeczkę Mammon już po lodzie. Przybywszy do swojej kopalni, przekonał się, że Burns doskonale dawał sobie radę, wobec czego uznał swoją stałą obecność za zbyteczną. Naładował więc trochę żywności na sanki, zaprzągnął psy, wziął sobie pierwszego lepszego Indianina do pomocy i wyruszył ku Jezioru Niespodzianek. Zawsze lubił tę okolicę. Może nie wiesz, że strumyk Mammon rozgałęzia się tam na cztery odnogi? Interesy Dawida szły wtedy doskonale, postanowił więc zbudować domek dla siebie i przyszłej żony. To ta właśnie chata, w której nocowaliśmy wczoraj. **Ukończywszy**

budowę, wybrał się na polowanie ku rozgałęzieniom Teelee, wzięwszy ze sobą Indjanina.

Posłuchaj teraz, co się stało. Nadeszły straszne mrozy. Termometr spirytusowy spadł do czterdziestu, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu poniżej zera. Pamiętam ten mróz. Byłem wtedy w Czterdziestej Mili; pamiętam nawet ten dzień. O jedenastej rano termometr w sklepie N. A. T. & T. Company *) spadł do 75^o poniżej zera. Tego właśnie dnia nad rzeczką Teelee, Dawid Walsh polował na jelenie w towarzystwie swego przekłętego Indjanina. (Opowiadał mi to później ten właśnie Indjanin. Odbywaliśmy kiedyś razem podróż po lodzie do Dyea). Tego nieszczęsnego dnia, imć Indjanin wpadł pod lód i przemoczył odzież aż do skóry. Rzecz prosta, natychmiast zaczął zamarzać. Należało czemprędzej rozłożyć ognisko. Ale Dawid Walsh był młodym lwem. Do obozu mieli tylko pół mili, w obozie zaś ognisko paliło się stale. Czy warto tutaj rozpalać drugie? Zarzucił więc imć Indjanina na plecy i pognał kłusem owe pół mili, przy 75-ciu stopniach mrozu. Rozumiesz dobrze co to znaczy. Samobójstwo. Nie potrafię nazwać tego inaczej. Cóż chcesz, ten byk Indjanin ważył dobre dwieście funtów, Dawid zaś niósł go całe pół mili. Rzecz prosta, odmroził sobie płuca. Odmroził je zapewne radykalnie. Sztuczka była istotnie karkołomna. Dość, że po

*) Nord America Trade i Transport Company (przyp. tłum.)

kilkutygodniowych męczarniach Dawid Walsh umarł.

Indjanin nie miał pojęcia co począć z ciałem. W zwykłym porządku rzeczy spaliby zwłoki i zapomnieli o nich. Wiedział jednak że Dawid Walsh był nie byle jakim człowiekiem, bardzo bogatym i jednym z „wodzów” pośród białych. Pamiętał że biali nieraz wożą ciała swoich wielkich ludzi tam i sam po kraju, jakby te zwłoki były jeszcze coś warte. Zdecydował więc, że należy zawieźć ciało Dawida Walsh do Czterdziestej Mili, gdzie mieszkał dotychczas. Wiesz dobrze, iż tu, w tym kraju, trawy przemarzają aż do najgłębszych korzeni. Tak więc Indjanin złożył ciało Dave'a do mogiły jedno-stopowej głębokości, czyli właściwie złożył go na lód.

Dave mógł przeleżeć tak choćby z tysiąc lat i nie przestać być tym samym dawnym Dave'em. Rozumiesz, leżał jak w chłodnicy. Indjanin przyniósł sobie piłę z domku przy Jeziorze Niespodzianek i natarł desek na skrzynię. Czekać spokojnie na roztopę, upolował dobre dziesięć tysięcy funtów jeleniego mięsa. Przechował je również w lodzie. Wreszcie nadeszła odwilż. Na Teelee ruszyły lody. Indjanin zbił tratwę, naładował ją mięsem, ustawił skrzynię ze zwłokami Dav'a, zabrał też cały zaprząg i ruszył z biegiem Teelee.

Tratwa natrafiła na zator z wyrwanych przez burzę drzew i stała nieruchomo przez dwie doby. Wiosna była bardzo ciepła i szanowny indjanin stracił nieomal całą swą przyszłą pieczeń jelenią.

Dobrnawszy do Teelee Portage, osądził słusznie, że parowiec pójdzie szybciej, niż tratwa. Przeladował więc swoje bagaże.

I oto masz obrazek: Na pokładzie *Golden Rocket* Jutrzenka bierze ślub, zaś Dave Walsh osłania ją cieniem swojej trumny. Dziwię się tylko, jak mogłem nie zorientować się odrazu, że duży pies, którego wprowadzono na pokład w Teele Portage, jest mi dobrze znany. Był to przecie Pee-lat, pierwszy pies w zaprzęgu Dawida Walsh'a, jego ulubieniec, a zarazem wielki siłacz i zawadziak. Ten to pies właśnie leżał za skrzynią na stosie bagaży.

Jutrzenka dostrzegła mnie w tłumie, zawołała, przywitała uprzejmie i zapoznała z hrabią. Była bardzo piękna, ja zaś zakochany niemniej szalenie, niż zwykle. Uśmiechnęła mi się prosto w oczy i oświadczyła, że mam podpisać dokument ślubny, jako jeden ze świadków. Nie zaznała nigdy odmowy. Wciąż jeszcze była dzieckiem, okrutnym, jak okrutne są dzieci. Nie omieszkała mi też powiedzieć, że jest w posiadaniu jedynych dwóch butelek szampana na całe Dawson — a raczej tych, które niedawno jeszcze znajdowały się w Dawson. I zanim się zorientowałem — wypić musiałem zdrowie państwa młodych. Otoczył nas natychmiast tłum, z kapitanem na czele, żądnym zapewne dobrego wina. Dziwaczne to było wesele. Na górnym pokładzie niedobitki szpitalne, jak to mówią „z jedną nogą w grobie” zebrały się koło burty i pochylone ciekawie, przyglądały się widowisku. Nie brakło też

Indjan — mężczyzn, kobiet i dzieci — stłoczonych wokoło, oraz zgraji warczących psów, liczących chyba ze dwadzieścia pięć sztuk. Misjonarz ustawił przed sobą młodą parę i rozpoczął obrządek. W tej samej chwili wybuchła też zawsze niezawodna psia bitwa. Ośrodkiem jej stał się wysoki stos bagaży, prowadzonymi zaś: Pee-lat, leżący dotychczas za wielką skrzynią na samym wierzchu góry pakunków, oraz ogromna biała bestja, należąca do jednego z Indjan. Bitwa nie przybrała bynajmniej charakteru gwałtownego. Psiska poprostu warczały na siebie wzajemnie z odległości, złoszcząc się na tę odległość i kłapiąc zębami.

Hałas był niewątpliwie przykry, można było jednak słyszeć słowa misjonarza.

Zresztą, jakżeż dosięgnąć psów? Chyba z drugiej strony stosu. Tam zaś właśnie nie pozostał nikt, bo każdy chciał przyjrzeć się uroczystości. Wszystko przeszłoby zupełnie gładko, gdyby kapitan nie cisnął kijem w psy. To wywołało katastrofę. Jak powiadam, gdyby nie ów kij kapitana, może nicby nie zaszło.

Misjonarz doszedł właśnie do słów: „i nie opuszczę cię aż do śmierci”, kiedy kapitan cisnął ten kij fatalny. Widziałem wszystko doskonale. Laska uderzyła Pee-lat'a i w tejże chwili biała bestja skoczyła na swego przeciwnika, ośmielona czynną naganą człowieka. Skok ten spowodowany został bezprzecznie cisnięciem kija, Zczepione w walce ciała dwóch zwierząt trąciły skrzynię, która poczęła

zsuwać się z wolna, dopóki nie dosięgła pionu. Wtedy runęła gwałtownie na pokład. „Publiczność” weselna stłoczona od strony stosu zdążyła przebiec na stronę przeciwną. Jutrzenka i hrabia stali po drugiej stronie ludzkiego koliska, twarzami zwróconymi ku skrzyni; ksiądz stał odwrócony tyłem. Skrzynia padała z wysokości dobrych dziesięciu stóp, prosto i prostopadle, węższym swym końcem ku przodowi. Pamiętaj, że nikt z nas nie wiedział o śmierci Dawida Walsh. Myśleliśmy, że *Glendale* wiezie go do Dawson. Ksiądz uskoczył w bok. Wtedy Jutrzenka znalazła się tuż przed padającym ciężarem. Niczem dobrze wyreżyserowana sztuka. Trudno o lepszy układ sceny. Skrzynia palnęła o ziemię węższym końcem, pokrywa odskoczyła i oto z poza niej wyłonił się Dawid Walsh, napół owinięty w dery, z rozwianym jasnym włosiem, lśniącym jak złoto w promieniach słońca. Prosto ze straszliwej skrzyni, wyprostowany i sztywny obalił się na stojącą dziewczynę. Nie wiedziała, że umarł. Lecz nie mogła mieć wątpliwości, że oto wstał z martwych, żeby napiętnować jej niewierność. Może to właśnie pomyślała w tej chwili? (Pamiętaj, że trątwę przez dwa ciepłe dni zatrzymał zator na rzece). Dziewczyna — skamieniała. Nie drgnęła nawet. Stała tylko, czekała przez całą tę okrutną sekundę, kiedy ciało waliło się wprost na nią. Dosięło jej wreszcie. Zdawać się mogło, że Dave Walsh ogarnia ją ramionami. Tak czy inaczej, na deski pokładu runęli razem. Musieliśmy potem zdejmować z kobiety straszliwy

ciężar, żeby móżdż ją podnieść. Leżała zemdlona i właściwie powiedzieć można, że do dziś dnia nie ocknęła się z tego omdlenia. Otworzywszy oczy, uderzyła w płacz. Wstrząsający, nieprzytomny płacz szaleńców. Płakała kilka godzin, aż do zupełnego wyczerpania.

O tak, wyzdrowiała. Sam widziałeś wczoraj. Nie jest to obłąd gwałtowny, to prawda, jest to jednak życie w głębokiej ciemności. Wiemy, że czeka na Dawida, czeka więc w chacie, którą on zbudował. Nie jest już zmienna. Oto dziewiąty rok dochowuje wierności Dawidowi Walsh, i prawdopodobnie dochowa jej aż do końca.

Lon Mc Fane odrzucił brzeg kołdry i zabierał się do snu.

— Dostarczamy jej żywności rok rocznie — dodał — i wogóle mamy ją na oku. A przecież wczoraj poznała mnie po raz pierwszy.

— Kto to „my” — zapytałem.

— O, — brzmiała odpowiedź — hrabia, stary Victor Chauvet i ja. Wiesz, najbardziej żal mi tego hrabiego.

Dave Walsh nie wiedział nigdy o zdradzie narzeczonej. Ją ciemności zasłaniały od cierpienia.

Leżałem cicho przez chwilę.

— Czy hrabia wciąż jeszcze mieszka na Północy? — spytałem. Odpowiedział mi ciężki oddech. Lon Mc Fane spał.

WŁADCA TAJEMNIC

We wsi panowało niezadowolenie. Kobiety plotkowały zajadle wysokimi, ostrymi głosami. Mężczyźni mieli ponure i niepewne miny. Nawet psy błąkały się spłoszone, przeczuwając głucho niepokój obozu, gotowe każdej chwili umknąć w las, jeśli niebezpieczeństwo zagrozi naprawdę.

Powietrze pełne było podejrzeń i knowania. Nikt nie ufał sąsiadom. Każdy wiedział, że nie ufają mu również. Nawet dzieci były zmieszane i uroczyście, zaś maleńki Di Ya, przyczyna wszystkiego złego, obity dźwięcznie najpierw przez matkę, Hooniah, potem przez ojca, Bawn, chlupał teraz, spoglądając pesymistycznie na świat z poza osłony wielkiej przewróconej na brzegu łodzi.

Nadomiar złego, Scundoo, szaman, popadł w niełaszkę bogów, wobec czego jego ogólnie znana moc nie mogła zostać użyta do przeciwstawienia się sprawkom złego ducha. Przed miesiącem bowiem szaman obiecał pomyślny wiatr południowy, ażeby całe plemię udać się mogło na wielki *potlatch* w wiosce

Tonkinie, gdzie Taku Jim sypał garściami oszczędności lat dwudziestu; kiedy dzień oznaczony nadszedł — o zgrozo — dał gniewny wiatr północny. Z trzech łodzi, które ośmieliły się wysunąć, jedną uniosły fale na pełne morze, dwie zaś inne roztrzaskane zostały o skały, przyczem jedno dziecko utonęło. Szaman tłumaczył, że zaszła omyłka, pociągnął bowiem nieodpowiedni sznurek. Lud jednak nie życzył sobie słuchać tych wymówek; ofiary w mięsie, rybach i futrach przestały napływać przed drzwi szamana. Siedział w chacie, przymierając głodem, jak przypuszczano chcąc nasycić się gorzkim smakiem zemsty. W rzeczywistości używał dowoli zapasów swej zasobnej spiżarni, rozmyślając nad zmiennością losu.

Zginęły kołdry niewiasty Hooniah. Wspaniałe kołdry, niezwykle grube i ciepłe, stanowiące przedmiot dumy właścicielki, dlatego przedewszystkiem, że zdobyte zostały nader tanim kosztem. Ty-Kwan, mieszkaniec wioski sąsiedniej, musiał być głupi, skoro rozstał się z niemi tak łatwo. Hooniah nie wiedziała jednak, że kołdry te należały do owego zamordowanego Anglika, po śmierci którego kuter Stanów Zjednoczonych przez czas pewien węszył i prychał wzdłuż wybrzeża, wysyłając wywiad ku wszystkim tajemnym drobnym zatoczkom. Radość i duma niewiasty Hooniah nie została zmacona świadomością okrutnej prawdy, iż Ty-Kwan skwapliwie i umyślnie pozbywał się kołder, aby własne jego plemię nie miało nic do doniesienia policji.

Wobec tego zaś, iż zazdrość dręczyła bliźnie niewia-
sty — duma Hooniah nie miała granic i przedostała
się nawet przez brzegi wioski rodzinnej, zalewając
łąd Alaski od Dutch Hardour po St. Mary. Imię jej
zdobyło rozgłos należny, rozbrzmiewając z ust wszyst-
kich mężczyzn, gdzie tylko mężczyzna zarzucał
siec i do uczyty zasiadał. Wszyscy sławili ciepło
i miękkość niezwykłych kołder. Zniknięcie ich więc
stało się zjawiskiem nad wszelki³ wyraz tajemniczem.

— Właśnie rozwiesiłam je na słońcu przy ścia-
nie domu — opowiadała Hooniah poraz tysięczny
wszystkim niewiastom z plemienia Thlinket: — Wła-
śnie rozwiesiłam je i odwróciłam się na chwilę,
gdyż Di Ya, ten złodziej ciasta i pożeracz mąki,
wpakował się głową do żelaznego kociołka i tylko
mu nogi sterczały do góry i powiewały jak gałązki
na wietrze. Zdażyłam wyciągnąć go i ze dwa razy
ciapnąć łbem o ścianę, żeby lepiej zapamiętał —
i już kołder nie było!

— I już kołder nie było?... — powtórzyły ko-
biety szeptem pełnym zgrozy.

— Wielka strata — dodała jedna.

— Nigdy nie było takich kołder w naszym
kraju — przemówiła druga.

— Bardzo cię żałujemy, o Hooniah — bąknęła
trzecia. Każda zaś rada była w głębi serca, że nie
stało nareszcie tych nienawistnych kołder, zatruwa-
jących sen.

— Właśnie rozwiesiłam je na słońcu — roz-
poczęła lament Hooniah poraz tysięczny pierwszy.

— Wiemy, wiemy—przerwał znużony Bawn.—
Ale we wsi nie było tego dnia nikogo obcego. Na-
leży więc przypuszczać, iż ktoś z naszego własnego
plemienia wziął cudzą własność w swe nieuczciwe
ręce.

— Jakże to być może, o Bawn! — zabrzmiał
zgorszony chór niewieści. — Któżby się ośmielił?...

— A więc — uczynił to zły duch — dokoń-
czył Bawn głosem stanowczym, chociaż niepewnym
spojrzeniem chytrze obrzucił obecnych.

„Zły duch!” Na dźwięk tych słów strasznych
umikły wszystkie głosy. Ludzie spojrzeli po sobie
ze zgrozą.

— Tak, tak — upewniła Hooniah. Cała wro-
dzona, a ukryta przebiegłość jej natury błysnęła
w nagłym uniesieniu. — Posłaliśmy już wiadomość
do Klok-No-Tona i kilka par dobrych wioseł. Nie
omieszka tu przybyć z wieczornym przypływem.

Tłum rozbił się na drobne grupki, strach zstą-
pił na całe osiedle. Ze wszystkich klęsk — najstrasz-
niejszą było najście złego ducha. Z niewidzialnymi
i nieuchwytnymi rzeczami tylko szamani umieli da-
wać sobie radę i żaden mężczyzna, żadna kobieta,
ani dziecko nie mogli nigdy przewidzieć, czy sza-
tan opętał ich duszę, czy też nie. Przekonywali się
o tem dopiero w chwili wyroku szamana. Ze wszyst-
kich zaś szamanów najokrutniejszym był Klok-No-
Ton, mieszkaniec sąsiedniej wioski. Nikt nie odna-
lażł i nie wypędził tylu złych duchów. Nikt nie
dreczył swych ofiar bardziej wyszukanemi tortu-

rami. Pewnego razu odnalazł nawet złego ducha w ciele trzymiesięcznego dziecka; szatanek ów był wyjątkowo uparty i opuścił dziecko wtedy dopiero, kiedy cały tydzień przeleżało w cierniowym krzaku. Ciało wrzucono potem do morza, lecz fale uporczywie rzucały je wiosce z powrotem, niczem przekleństwo. Zabrały je wtedy dopiero, kiedy dwóch silnych mężczyzn przywiązano do pali podczas odpływu i zatopiono.

Po tego oto Klot-No-Ton posłała niewiasta Hooniah! Byłoby jednak lepiej, gdyby Scundoo, własny szaman wioski nie popadł w niełaskę bogów. Miał on znacznie łagodniejszy sposób sprawowania czarów i wslawił się przez wygnanie aż dwóch szatanów z pewnego mężczyzny, który spłodził potem siedmioro zdrowych dzieci. Zato Klok-No-Ton! Drżano ze grozy na samą myśl o nim. Każdy czuł się ośrodkiem podejrzliwych spojrzeń bliźnich i sam ze swej strony spoglądał na każdego podejrzliwie. Wszyscy — prócz Sima. Sime był kpiarzem i niedowiakiem, to też nikt nie wątpił, że kiepsko skończy, chociaż dotychczas nieodmiennie towarzyszyło mu powodzenie.

— Ho, ho! — śmiał się rubasznie. — Złe duchy i Klok-No-Ton! Przecież gorszego szatana nie znajdziecie pośród wszystkich Thlinketów.

— Ty głupi! Szaman już przybywa, uzbrojony w czary i zaklęcia; pilnuj lepiej swego języka, bo i szatan ciebie opęta, a wtedy krótkie będą dni twoje w tym kraju!

Tak mówił La-lah, zwany Podstępny. Lecz Sime roześmiał się pogardliwie.

— Jam jest Sime, nieustraszony, nieznający twrogi przed ciemnościami. Silny jestem, jak silnym był mój ojciec i głowę mam w porządku. Ani ty ani ja nie widzieliśmy na oczy żadnego złego ducha. — Ale Scundoo widział — odrzekł La-lah. — Widział też Klok-No-Ton. Wiemy o tem napewno.

— Skądże możecie o tem wiedzieć, głupcy i głupców synowie? — zagrzemiał Sime, zaś ciemna fala gniewu zaczerwieniła jego gruby, byczy kark.

— Z ich własnych ust.

Sime aż zaryczał z oburzenia. — Szaman jest tylko człowiekiem. Dlaczegoż słowa jego nie mogą być mylne lub kłamliwe, tak jak moje lub twoje? Tfu! Tfu! I raz jeszcze tfu! Pluję na ciebie i na twoich szamanów i na wszystkich djabłów twoich szamanów! Tfu!

Co rzekłszy, Sime odszedł, roztrącając tłum, który zresztą robił mu miejsce z pełną bojaźni skwapliwością.

— Dobry rybak i mocny myśliwy, ale grzeszny człowiek — odezwał się jakiś głos.

— A przecież powodzi mu się doskonale — rozważał drugi.

— Wobec czego radzę ci również grzeszyć i ręczę za powodzenie — odrzucił przez ramię Sime. — Gdybyście wszyscy zdecydowali się raz wreszcie na grzechy, obeszloby się bez szamanów. Tfu! Wy dzieci ciemności i obłądul

Kiedy wreszcie Klok-No-Ton przybył z wieczornym przyływem, zuchwały śmiech Sima zabrzmiał niepokornie. Grzesznik nie powstrzymał się nawet od prześmiewek, kiedy stopa szamana dotknęła już piasku wybrzeża. Klok-No-Ton papatrzał kwaśno i nie rzuciwszy powitania ludowi, ruszył przez tłum wprost ku chacie Scundoo.

O spotkaniu obu szamanów nie wiele wiedzieli małuczcy, albowiem stłoczyli się w pełnym uszanowania oddaleniu i tylko szeptali trwożnie, podczas gdy władcy tajemnic spędzili wspólnie czas niejaki.

— Witaj, Scundoo! — wypalił Klok-No-Ton, zbliżając się ostrożnie, albowiem nie pewien był przyjęcia. Postać miał olbrzymią, górująco ciężką ponag drobnym Scundoo, którego cienki głosik polatywał i drżał wysoko, niby daleki, przyciszony skrzek.

— Pozdrowienie ci, o Klok-No-Ton—odparł.— Dzień jest piękny, albowiem tyś przybyć raczył.

— Zdaje mi się jednak... — zawahał się Klok-No-Ton.

— Tak, tak — przerwał niecierpliwie mały szaman — że dla mnie przyszły kiepskie czasy, inaczej bowiem nie byłbym rad, że czynisz to, co ja czynić powinienem.

— Bardzo mnie to martwi, przyjacielu Scundoo.

— Mnie zaś niewymownie cieszy, o Klok-No-Ton!

— Oddam ci połowę tego, co mi zapłacą.

— O nie, mój dobry Klok-No-Ton — mruknął Scundoo, zaprzeczając ruchem ręki. — Ja to właśnie jestem sługą, twoim i dni moje pełne będą chęci dogodzenia tobie.

— Tak, jak...

— Tak, jak ty w tej chwili dogadzasz mnie.

— Pięknie. Powiedz mi teraz czy to istotnie, taka kiepska sprawa z owemi kołdrami niewiasty Hooniah?

Ogromny szaman zahaczył ciekawie towarzysza, lecz Scundoo uśmiechnął się mglistym, szarym uśmiechem, albowiem umiał czytać w myślach ludzkich i każdy człowiek wydawał mu się mały.

— Znasz czary potężne — odparł. — Niewątpliwie złoczyńca wkrótce będzie ci znany.

— O, tak, jak tylko spoczna na nim moje oczy. — Tu Klok-No-Ton zawahał się znowu. — Czy nie było jakich przybyszy z wiosek sąsiednich? — zagadnął.

Scundo potrząsał głową. — Spójrzysz proszę! Nie jest że to najdoskonalszy chodak, jaki kiedykolwiek widziałeś?

Wskazał piękny okaz obuwia ze skórek fochy. Gość przyglądał się z ukrytem zainteresowaniem.

— Otrzymałem ten dar przy pewnym, nader paradnym i zupełnie poufnym układzie...

Klok-No-Ton uważnie pokiwał głową.

— Otrzymałem od mężczyzny, imieniem Lalah. Jest to człowiek niezwykle i myślałem sobie nieraz...

— Że?... — poddał niecierpliwie Klok-No-Ton.

— Tak, nieraz sobie myślałem — zakończył Scundoo, zcisząc głos do szeptu — że dzień dzisiejszy jest bardzo piękny, zaś moc czarów twoich potężna, o Klok-No-Ton.

Twarz gościa rozjaśniła się nagle.

— Jesteś wielkim człowiekiem, Scundoo, szamanem nad szamanami. No, idę. Pamiętać cię będę zawsze. Ów La-lah jest niewątpliwie człowiekiem godnym uwagi.

Scundoo uśmiechnął się jeszcze mgliściej i bardziej szaro, zamknął drzwi natychmiast po odejściu gościa, poczem podparł je starannie podwójną ilością kołków.

Sime spokojnie naprawiał łódkę, kiedy Klok-No-Ton przechodził wybrzeżem. Zuchwały grzesznik przerwał pracę na chwilę, żeby ostentacyjnie nabić strzelbę i postawić ją pod ręką.

Szaman zauważył to i wykrzyknął:

— Niech cały naród zgromadzi się natychmiast na tem miejscu! Taki jest rozkaz Klok-No-Tona, odganiacza złych duchów.

Uprzednio miał zamiar zgromadzić ludek przy chacie Hoonah, lecz konieczną była obecność wszystkich bez wyjątku, szaman zaś wąpił w posłuszeństwo Sima i nie życzył sobie żadnych awantur.

— Sime jest człowiekiem, którego najlepiej zostawić w spokoju — zdecydował — zmierzenie się z nim, nie wyjdzie na zdrowie żadnemu szamanowi.

— Niechaj się zbliży niewiasta Hooniah — rozkazał Klok-No-Ton, tocząc dziko oczyma po kręgu zgromadzonych i rozsiewając tem samem ziemne dreszcze wzdłuż grzbietów swych wiernych.

Hooniah wystąpiła naprzód, spuściwszy głowę i odwróciwszy spojrzenie.

— Gdzie twoje kołdry?

— Właśnie rozwiesiłam je w słońcu i za chwilę już ich nie było — rozpoczęła płaczliwi.

— Dalej!

— Wszystko przez tego Di Ya...

— Dalej!

— Zbiłam go już mocno i jeszcze zbiję za to, że sprawdził nieszczęście na nas, biednych ludzi...

— Kołdry! — huknął chrapliwie Klok-No-Ton, przewidując, że kobieta zmierza do znizenia należnej mu zapłaty. — Kołdry, kobieto! Bogactwo twoje znane jest dobrze.

— Właśnie rozwiesiłam je na słońcu — załkała — my zaś jesteśmy biednymi ludźmi i nic nie posiadamy.

Szaman zeszywniał nagle, potworny skurcz wykrzywił jego twarz. Niewiasta czemprędzej cofać się poczęła ku tłumowi, on jednak tak szybko poskoczył ku niej z przewróconemi oczyma i obwisłą szczęką, że Hooniah potknęła się i upadła i rozpostarła u jego stóp. Szaman wymachiwał rękoma nad leżącą, dziko bijąc powiętrze. Ciało jego kurczyło się i ciskało jak na torturach. Wił się niby w ataku epilepsji. Biała piana wystąpiła mu na

wargi, wszystkie członki dygotały w przeciągłym konwulsyjnym dreszczu.

Kobiety rozpoczęły śpiewne zawrodożenie, kołysząc się ociężale w tył i naprzód. Mężczyźni jeden po drugim dawali się unosić ogólnemu podnieceniu. Jeden tylko Sime trwał niewzruszony; oparty swobodnie o swoje czołno, stał z drwiącym uśmiechem, chociaż krew przodków burzyła się w jego sercu i chociaż najsilniejszymi przysięgami stwierdzać musiał pocichu sam sobie, że odwaga jego pozostanie niezmacona. Klok-No-Ton wyglądał przeraźliwie. Zrzucił derkę, okrywającą zwykle ramiona, podał szaty i pozostał nagi, zachowując jedynie wokoło bioder girlandę z orlich pazurów. Skamłając i wyjąc powiewając falą czarnych włosów, niby strzępem nocy, ciskał się w zuchwałych susach pośród ludzkiego kręgu. Surowy, brutalny rytm rządził przeciw tym szaleńcom i kiedy wreszcie rytmowi temu poddali wszyscy, rzucając jednakowo ciała swe i krzyki — szaman zatrzymał się nagle i usiadł wyprostowany, sztywny, skamieniały, wyciągnąwszy przed siebie ramię, zakończone wyprostowanym palcem, podobnym do ptasiego pazura. Cichy jęk jak gdyby śmierć witający — zabrzmiał w tłumie na ten widok. Ludzie z trudnością trzymali się na drżących kolanach, kiedy palec-wyrocznia zbliżał się ku nim zwolna, Istotnie, niósł on śmierć — życie zaś pozostawało z tymi, których ominął.

Wreszcie, wśród przeszywającego wrzasku, fatalny palec zatrzymał się na La-lah. Biedak zadrżał

jak osika, ujrawszy nagle własnego trupa, podział swego dobytku i swoją wdowę, wydaną za brata. Chciał mówić, krzyżeć, przeczyć. lecz język przylgnął mu do podniebienia, wargi zasuszyło nieznośne, ostre pragnienie. Klok-No-Ton zdawał się półzemdlony, teraz, kedy dzieło jego było zakończone; czuwał jednak uważnie, z zamkniętymi oczyma, czekając, aż rozlegnie się wielki okrzyk krwi — okrzyk krwi, tak dobrze mu znany z tysiąca praktyk poprzednich, kiedy nagle lud rzucał się jak stado głodnych wilków na drżącą ofiarę. Trwało jednak milczenie. Potem zwolna, nieśmiało, odzywać się począł gdzieś cichutki chichot, rosnący szybko w potężną falę śmiechu, która ogarnęła tłum.

— Co takiego? — krzyknął Szaman.

— Ha! ha! ha! — śmiał się ludek. — Twoje czary nie są nic warte, o Klok-No-Ton!

— Wszystkim wiadomo — wybuchnął raptownie La-lah. — Przez ośm ciężkich miesięcy pracowałem na morzu z siwaczami, łowcami fok i dzisiaj dopiero powróciłem. Kołdry zginęły przed mojem przybyciem!

— Prawdę mówisz! Prawdę! — wołał tłum zgodnie. — Kołdry Hooniah zginęły przed jego przybyciem.

— I nie dostaniesz nic, bo twoje czary licha warte — oświadczyła Hooniah, w porę zerwawszy się z ziemi, żeby uniknąć śmieszności.

Lecz Klok-No-Ton widział już tylko twarz Scundoo, jego mglisty, szary uśmiezek i słyszał

ciemki, ptasi głos: „Dostałem dar ten od mężczyzny La-lah i myślałem często...”, potem zaś: „Dzień jest piękny i czary twoje potężne, o Klok-No-Ton”.

Odepchnął Hooniah, tłum rozstał się odruchowo i pozwolił przejść szamanowi. Sime cisnął jakąś drwinę z dzioba swojej łódki, kobiety chichotały w twarz władcy tajemnic, krzyki oburzenia rozlegały się w ślad za nim, ale nie zwracał na nic uwagi i kroczył pośpiesznie ku chacie Scundoo. Odpowiedzi jednak nie doczekał się żadnej, albowiem cieniutki głos Scundo zawodził właśnie jakieś modły. Klok-No-Ton rzucił się jak oszalały wokoło chaty, lecz kiedy spróbował wybić drzwi kamieniem, szept oburzenia wybiegł z ust mężczyzn i kobiet. Wtedy Klok-No-Ton pojął, że stoi oto odarty z władzy i wszelkiej powagi w obliczu obcego, wrogiego tłumu. Dostrzegł, jak ktoś schylił się po kamień — i błądzący strach przeszył mu ciało.

— Nie rusz Scundoo, który jest mędrce! — krzyknęła jakaś kobieta.

— Lepiej wracaj do swojej wioski, pókiś cały! — doradził groźnie głos mężczyzny.

Klok-No-Ton zawrócił na pięcie i szedł środkiem tłumu ku zatoce, z gorzką wściekłością w sercu i z nieznośną myślą o swojej bezbronności. Nie padł jednak żaden kamień. Dzieci płatały się uchodzącemu koło nóg i prześmiewały drwiąco, powietrze trzęsło się od śmiechu i oburzenia, lecz była to jedyna zemsta. Szaman jednakże nie odetchnął swobodnie, dopóki łódź nie odbiła daleko od brze-

gu. Wtedy władca tajemnic powstał i rzucił straszliwą klątwę na wioskę i jej mieszkańców, nie zapomniawszy wyszczególnić Scundoo, który tak po-dle zakpił sobie z rywala.

Na brzegu tymczasem żądano ukazania się Scundoo. Tłum otoczył jego dom i tak długo skamlał o przebaczenie, aż stary człowiek ukazał się we drzwiach i wznosił rękę.

— Przebaczam wam, albowiem jesteście mo-
jemi dziećmi — wyrzekł. — Lecz więcej już nie
przebaczę nigdy. Poraz ostatni lekkomyślność wa-
sza i głupota nie zostają ukarane. To, czego sobie
życzyście tym razem — zostanie spełnione. Złoczyń-
ca będzie mi znany. Tej nocy, kiedy księżyc scho-
wa się poza świat, ażeby patrzeć stamtąd na czyn
potężny, niechaj cały naród zgromadzi się koło do-
mu kobiety Hooniah. Wtedy złoczyńca wystąpi na
przód, aby otrzymać zasłużoną karę. Rzekłem.

— Karą tą będzie śmierć — ogłosił uroczyście
Bawn. — Albowiem sprowadził on na nas niepokój
i hańbę.

— Niechaj się tak stanie — odrzekł Scundoo
i zamknął drzwi.

— Teraz wszystko rozsądzone będzie słusznie
i sprawiedliwie; aby dawny spokój, zagościł znowu
pośród nas — wygłosił jak wyrocznia La-lah.

— Przez tego małego człowieka Scundoo —
bryztał śmiechem Sime.

— Przez wielkie czary małego Scundoo — po-
prawił La-lah.

— Głupie plemię Thlinketów, dzieci ciemności! — Sime klasnął dłonią o biodro. — Nie mogę pojąć dlaczego dorosłe kobiety i silni mężczyźni pozwalają spychać się w mrok i wierzą w głupie bajki!

— Ja jestem wielkim podróżnikiem — odparł Lalah. — Wędrowałem po morzach głębokich, widziałem niemało cudów i dziwów, ale wiem i pewien jestem, że Szamani znają swoje czary. Jam jest La-lah...

— Przewzany.

— To tylko Przewzisko. Naprawdę zowie się Wielkim podróżnikiem.

— Nie jestem coprawda podróżnikiem tak sławnym — zaczął Sime.

— Więc lepiej zamknij gębę i milcz, — przeciął Bawn. Rozeszli się w gniewie.

Gdy ostatnie srebrne poblaski księżycy zniknęły poza światem, Scundoo zjawił się pośród ludu, stłoczonego wokoło chaty Hooniah. Przybył krokiem szybkim, czujnym, i ci, którzy dostrzegli go w świetle olejnej lampki Hooniah, zauważyli, że nie miał ze sobą żadnych narzędzi czarów: grzechotek, masek i wszelkich innych zabawek, jakich zwykle używają Szamanie. Jedynie pod pachą dzierżył wielkiego, uspiętego kruka.

— Czy dość drzewa zebraliście na ognisko, żeby wszyscy ujrzyć mogli dzieło dokonane? zapytał szaman.

— Tak jest — odrzekł Bawn. — Drzewa mamy pod dostatkiem.

— A więc słuchajcie, albowiem słowa moje będą skąpe. Przyniosłem ze sobą Jelchsa, Wielkiego Kruka, odgadywacza tajemnic i znawcę rzeczy nieznanych. Tego oto Kruka, w pełnej jego czerni umieszczę pod przewróconym wielkim garnkiem niewiasty Hooniah, w najciemniejszym kącie jej domostwa. Lampka zostanie zgaszona i wszystko pograży się w zupełnej ciemności. To, co uczynić macie, jest nader proste. Jeden po drugim wejdzie do izby, położy dłonie na garnek, potrzyma je tak przez przeciąg jednego głębokiego oddechu, poczem cicho i powoli wyjdzie. Kruk niewątpliwie wyda okrzyk, kiedy dłoń złoczyńcy znajdzie się w jego pobliżu. A może w inny sposób okaże swój rozum — któż przewidzi? Czyście gotowi, moje dzieci?

— Gotowi — zabrzmiała odpowiedź licznych głosów.

— Wywoływać będę po imieniu, każdego i każdą z kolei, dopóki wszyscy nie przejdą przez próbę.

Pierwszy wywołany został La-lah. Skwapliwie wszedł do izby. Wszyscy wyteżyli słuch. W ciszy słyhać było wyraźnie skrzyp zmurzałej podłogi pod ostrożnymi krokami. Lecz żaden inny dźwięk nie zmącił ciszy. Kruk nie zakrakał, nie dał żadnego znaku. Następnie wybrany został Bawn, ponieważ zdarzyć się mogło, że ktoś ukradł własny swój dobytek, żeby hańbę sprowadzić na sąsiadów.

Za mężem poszła Hooniah, po niej inne kobiety, wreszcie dzieci. Kruk milczał.

— Sime! — wywołał Scundoo.

— Sime! — powtórzył.

Ale Sime nie ruszał się z miejsca.

— Boisz się ciemności, he? — zaczął drwiąco La-lah, wobec tego, że niewinność jego została jnż stwierdzona. Sime zachichotał.

— Kpię sobie z tego wszystkiego i z całej waszej głupoty. Wejdę jednakże, nie dlatego żebym wierzył w cudownego kruka, ale dlatego, że nie boję się ciemności.

Wszedł zuchwale i za chwilę wyszedł, nie ustając w drwinach.

— Pewnego dnia umrzesz nagłą śmiercią — szepnął mu La-lah, zgorzony nie na żarty.

— Nie wątpię — odrzucił lekceważąco grzesznik. — Niewielu z nas umiera w domostwie swoim, albowiem istnieją szamani i fale głębokiego morza.

Kiedy połowa mieszkańców wioski szczęśliwie przeszła przez izbę Hooniah, podniecenie wzrosło aż do ostrego, bolesnego niepokoju. Kiedy przeszło dwie trzecie ludności—pewna młoda kobieta, która niebawem zledz miała z pierwszym swem dziećciem, dostała z przerażenia napadu śmiechu i łkania.

Wreszcie przyszła kolej na ostatniego — i nie stało się nic. Tym ostatnim zaś był Di-Ya. Tak, winowajcą jest niewątpliwie mały Di-Ya. Hooniah zniosła natychmiast lament aż pod gwiazdy; wszys-

cy cofnęli się od nieszczęsnego chłopca. Malec był pół-żywy z przerażenia i dygotał tak, że potknął się o próg i omal nie upadł. Minęła długa chwila. Słysząc było tylko płacz chłopaka. Potem powoli, cichutko zaskrzypiały po podłodze jego kroki. Moment ciszy. Wreszcie drzwi otworzyły się — malec powrócił. Nie stało się nic, a przecież Di-Ya był ostatnim.

— Rozpalić ognisko! — rozkazał Scundoo.

Jasne płomienie buchnęły w noc, wyjmując z ciemności twarze jeszcze przejęte zgrozą, a przecie już zachodzące mgłą zwątpienia.

— Nie udało się znowu — szepnęła chrapliwie Hooniah.

— Tak, tak — zgodził się Bawn. — Starzeje się nasz Scundoo. Potrzebny tu będzie nowy szaman.

— Gdzież jest teraz mądrość Kruka? — zadzwiał Sime nad uchem La-lah.

La-lah podrapał się w czoło zmieszany i nic nie odrzekł. Sime wyzywająco wyprężył pierś i poskoczył ku małemu szamanowi. — Ho, ho! — zawołał. — Wiedziałem odrazu, że nic z tego nie będzie!

— Takby się zdawać mogło... takby się mogło zdawać... — odpowiedział łagodnie szaman. — Zdaje się tak zwłaszcza ludziom niewytrawnym w tajemnych sprawach.

— Jak ty — cisnął zuchwale Sime.

— Może nawet jak ja... — odrzekł miękko Scundoo, spuszczając powieki wolno, wolniuteńko,

nieznacznie, aż zakrył oczy zupełnie.—Zrobimy teraz drugą próbę. Niechaj wszyscy — mężczyźni, kobiety i dzieci — natychmiast i odrazu podniosą do góry obie ręce i trzymają je wyciągnięte nad głową.

Rozkaz był tak niespodziewany i tak stanowczy, że usłuchano bez sprzeciwu. Wszystkie ręce wzniosły się w powietrze.

— Niechaj każdy spojrzy na ręce drugiego i niechaj patrzą wszyscy — rozkazał Scundoo — tak, aby...

Śmiech dziki, pełen wściekłości zagłuszył jego słowa. Wszystkie oczy uderzyły w Sima. Albowiem wszystkie ręce czarne były od sadzy, tylko ręce Sima nie nosiły śladu dotknięcia do garnka Hooniah.

Kamień gwizdnął w powietrzu i uderzył oskarżonego w policzek.

— Kłamstwo, kłamstwo! — ryknął Sime. — Nie wiem nic o kołdrach Hooniah!

Drugi kamień przeciął mu czoło, trzeci gwizdnął tuż nad głową, wielki okrzyk krwi zabrzmiał w powietrzu, kto żyw, schylał się po kamień. Sime zachwiał i już prawie padał.

— To był żart! Tylko żart! — wrzasnął — wzięłem kołdry tylko dla żartu.

— Gdzieżeś je schował? — Ostry, przenikliwy głos Scundoo rozciął zgiełk niby nożem.

— W dużym worku skórzanym, w moim domu, umieszczone pod dachem — zabrzmiała odpowiedź. — Ale to był żart, tylko żart.

Scundoo skinął głową i nagle powietrze zgęstniało od kamieni. Żona Sime płakała cicho, głowę schowawszy między kolana; lecz mały jej synek, rozbawiony i chichoczący, ciskał kamienie wraz z innymi.

Hooniah nadbiegła zdyszana, niosąc oburącz cenne swe kołdry. Scundoo zagroził jej drogę.

— Jesteśmy bardzo biedni, posiadamy tak niewiele... — zaskamląła. Nie bądź dla nas zbyt surowym, o Scundoo!

Tłumek odszedł już od stosu kamieni, wstrząsanego jeszcze dreszczem — i przysłuchiwał się rozmowie.

— O nie, nie było to nigdy moim zamiarem, dobra Hooniah — odpowiedział szaman, sięgając po kołdry. — Na dowód czego — to tylko sobie zabieram.

— Czyliż nie jestem mądry, o moje dzieci? — dodał.

— Niewątpliwie wielką jest mądrość twoja, o Scundoo — odkrzyknął tłum jednym głosem.

Poczem szaman odszedł w głąb nocy, owinięty w nowe dery, ramieniem przytrzymując kiwającego się sennie kruka.

TYŚIĄC TUZINÓW

Dawid Rasmussen umiał rozpychać się w życiu łokciami, prócz tego zaś, wzorem niejednego z wielkich — posiadał myśl przewodnią. W rezultacie, usłyszawszy po raz pierwszy kuszący zew Północy, wykoncypował sobie pewien złoty interes i wyteżył całą energję, żeby go wcielić w życie. Myślał krótko lecz rzeczowo — interes był nadspodziewany, niebywały, znakomity. Nie ulegało wątpliwości, że w Dawson sprzedać można jaja po pięć dolarów za tuzin. Wobec czego, faktem było, iż tysiąc tuzinów przyniesie w Stolicy Złota pięć tysięcy dolarów.

Z drugiej strony, należało wziąć pod uwagę wydatki. Rasmussen nie przeoczył tego, był bowiem człowiekiem starannym, obdarzonym zmysłem praktyczności, dobrą głową i sercem niezdolnym do poddawania się złudzeniom. Po piętnaście centów tuzin — kosztą więc zdobycia owych pięciu tysięcy wyniosą narazie sto pięćdziesiąt dolarów — bagatelkę w porównaniu z olbrzymim zyskiem. Przy-

puśćmy teraz, przypuśćmy tylko — pozwólmy sobie na tę przesadę — iż podróż i transport jaja kosztować będzie aż osiemset pięćdziesiąt dolarów; po zostanie w każdym bądź razie cztery tysiące na czysto, kiedy sprzeda się ostatecznie jajo i ostatecznie ziarnko złotego piasku wsypie do mieszka.

— Pomyśl tylko Almo — tłumaczył Rasmussen żonie, siedząc w niewielkiej lecz eleganckiej jadalni, zasypanej w tej chwili stosami map, projektów, przewodników po Alasce, rozkładów kolejowych i t. d. — wydatki zaczynają się dopiero po przyjeździe do Dyea, dokąd bilet pierwszej klasy kosztuje pięćdziesiąt dolarów. Od Dyea do Jeziora Linderman tragarze-indjanie niosą pakunki za dwanaście centów od funta, czyli dwanaście dolarów za sto funtów, co wyniesie, za tysiąc funtów, sto dwadzieścia dolarów. Przypuśćmy, że cały mój ładunek ważyć będzie tysiąc pięćset funtów. Tragarze wezmą więc sto osiemdziesiąt dolarów, no, powiedzmy, dwieście dla świętego spokoju. Jestem najwiarogodniej poinformowany przez kogoś, kto wrócił niedawno z Klondike, że łódkę kupić tam można za trzysta dolarów. Ten sam człowiek zapewnił mnie jednak, że można zawsze znaleźć dwóch pasażerów, z których każdy zapłaci po sto pięćdziesiąt dolarów. W takim razie łódka wypadnie zadarmo, prócz tego zaś pasażerowie pomogą wiosłować i sterować. Poza tem cóż? Nic więcej. Wyładować jaja na brzegu w Dawson. Zobaczymy, ile wyniosą kosza. Sumuj!

— Pięćdziesiąt dolarów z San Francisco do Dyea, dwieście z Dyea do Linderman, pasażerowie płacą za łódkę, razem dwieście pięćdziesiąt — podsumowała pręciutko Alma.

— Ze sto na mój ekwipunek osobisty — ciągnął radośnie Dawid. — Jeżeli jeszcze dodamy sto pięćdziesiąt na „nieprzewidziane”, wypadnie pięćset dolarów kosztów. Ale — właściwie — co mogą być za „nieprzewidziane“?

Alma wzruszyła ramionami i lekko podniosła brwi. Jeżeli ten olbrzymi Kraj Północy zdolen był pochłonąć tysiąc tuzinów jaj, to niewątpliwie posiada też zapas nieoczekiwanych przygód i swoistych niespodzianek. Tak pomyślała, ale nie odrzekła nic. Zbyt dobrze знаła Dawida Rasmunsa, żeby odpowiedź uważać za potrzebną.

— Podwoiwszy czas podróży, jak każą względy przeczności — przypuśćmy, że przybędę do Dawson za dwa miesiące. Pomyśl tylko, Almo! Cztery tysiące w dwa miesiące! Trochę więcej niż moja dotychczasowa setka miesięcznie, co? Pobudujemy nowy domek, żeby mieć więcej miejsca, (piękny widok z okien) przeprowadzimy gaz do każdego pokoju, w dodatku komorne za domek obecny pokryje podatki, ubezpieczenie i wodę. Może nawet coś jeszcze zostanie? Prócz tego, otworzą się wszelkie możliwości. Zabiorę się do handlu i mogę zostać bogaczem. No, powiedz Alme czko, czyż nie jestem człowiekiem umiarkowanych pragnień?

Biedaczka Alma! czyż wolno było myśleć inaczej? Zresztą — jej własny kuzyn (coprawda dość daleki i niezbyt wiarogodny) powrócił był z Klondike z równemi stu tysiącami, nie licząc połowy udziału w terenach, z których te skarby wykopał.

Właściciel najbliższego sklepiku zdziwił się niepomiernie, widząc, że pan Rasmussen waży jaja na wadze stojącej koło kantoru, pan Rasmussen zaś zdumiał się z kolei, ujrawszy iż tuzin jaj waży półtora funta, tysiąc tuzinów, półtora tysiąca funtów. Nie pozostałoby wobec tego miejsca w budżecie na ubranie, koce, naczynia i zapasy żywności! Miał już zamiar zaczynać obliczenia nanowo, gdy nagle wybawiła go z kłopotu genialna myśl. Będzie ważył tylko małe jajka! „Tuzin jest przecież zawsze tuzinem, niezależnie od wielkości jaj” — zauważył słusznie Dawid, poczem wyszukał w sklepie takie sztuki, których tuzin ważył równo funt i ćwierć. Poczem San Francisco obiegać poczęli zasapani agenci, zaś hurtownie spożywcze zaalarmowane zostały nagle zapotrzebowaniem na jajka, których tuzin nie ważyłby więcej niż funt i ćwierć.

Rasmussen obciążył hypotekę swego domku sumą tysiąca dolarów, wysłał żonę na dłuższy pobyt do jej rodziców, rzucił zajmowaną posesję i ruszył na Północ. Żeby nie przekroczyć zarysowanego budżetu, zdecydował się na przejazd drugą klasą, co wobec wielkiego ruchu ku Północy było mniej wygodne niż kajuta pod schodami na mizernym parowcu. Nareszcie, pod koniec lata, blady i znużony,

wylądował się Rasmussen wraz z bagażem nad zatoką Dyea. Wystarczyło mu parę godzin, żeby poznać długie ręce i wilcze apetyty miejscowych mieszkańców.

Pierwszy wywiad z tragarzami, noszącymi bagaże przez Chilcoot podniósł przybyszowi wszystkie włosy na głowie. Za dwadzieścia osiem klm. żądano po czterdzieści centów od funta, i zanim Rasmussen zdążył oprzytomnieć i przełknąć gorycz tej pigułki — cena skoczyła do czterdziestu trzech Pietnastu rosłych indjan zarzuciło wreszcie rzemienie na plecz za cenę czterdziestu pięciu od funta, lecz natychmiast zsunęło owe precz rzemienie słysząc, że czterdzieści siedem ofiarowuje jakiś Krezus ze Skaguay, owinięty w brudne łachmany. Stracił podobno konia przy White Pass i próbował teraz rozpaczliwie dostać się do domu przez Chilcoot.

Lecz Rasmussen był sprytny i za pięćdziesiąt od funta zdobył tragarzy, którzy w dwa dni później złożyli jego bagaż w nienaruszonej całości na brzegu jeziora Linderman. Lecz pięćdziesiąt centymów za funt znaczy ni mniej ni więcej tylko tysiąc dolarów tonna, wobec czego tysiąc pięćset funtów wyczerpało doszczętnie kapitał zapasowy Rasmunsena. Został więc jak niepyszny na brzegu, cierpiąc męki Tantala na widok świeżo wyciosanych łodzi, długim szeregiem wyruszających w stronę Dawson. Na domiar złego, pomiędzy ludźmi, tuż na brzegu zbijającymi łodzie zapanowało niespokojne napięcie. Pracowano zawzięcie z całych sił, od świtu

do nocy, piłowano, heblowano, przybijano w szalonym pośpiechu. którego przyczyny nie trzeba było szukać daleko. Codziennie linja śniegów spełzała niżej z czarnych, skalistych szczytów i burza biegła w ślad za burzą, niosąc zamiecie, zaś w chwilach ciszy, stojące zatoczki jeziora pociągało kruche a połyskliwe szkliwo lodowe. Każdego ranka, znużeni pracą ludzie, zwracali wychudłe twarze ku jezioru, spoglądając, czy „idzie zamróz.” Albowiem „zamróz” zwiastował śmierć ich nadziei — nadziei popłynięcia ku domowi z biegiem bystrej rzeki, zanim żegluga ustanie wzdłuż łańcucha jezior.

Ku wzmożeniu swej rozpacz, dowiedział się Rasmussen, że posiada w jajczarskiej imprezie trzech konkurentów. Coprawda jednemu z nich, młodemu Niemczykowi rozbili tragarze jego kruchy ładunek i dreptał teraz jak niepyszny z powrotem, niosąc z precyzją ostatnią i jedyną ocalałą skrzynkę. Zato drugi konkurent posiadał już dwie nieomal wykończone łódki i codziennie zaklinał boga handlarzy i przekupniów, aby raczył powstrzymać żelazne pazury zimy. Pomimo to, żelazne pazury zimy, wpijały się w kraj coraz mocniej. Niejeden człowiek zamarł na przełęczy Chilcoot podczas śnieżnej nawałnicy, która ruszyła od gór; Rasmussen nie zauważył nawet, kiedy odmroził sobie palce. Trafiało się coprawda w pewnej łodzi doskonale miejsce dla niego i dla towaru, żądano jednak z góry dwieście dolarów gotówką, Dawid zaś — nie miał pieniędzy.

— Ja myślę, pan zaszeka jetna kwila — per-

swądował Szwed, budowniczy łódek, który w te właśnie miejscu znalazł swój Klondike i był dostatecznie mądry, żeby nie szukać dalej — jetna kwila i ja zrobię piękna łóteczka, barco piękna...

Z tą oto ponętną obietnicą w zanadru, powlókł się Rasmussen do jeziora Crater, gdzie natrafił przypadkiem na dwóch korespondentów pism, zdających również do Dawson. Wspólne ich bagaże rozrzucone były od Kamiennego Domu, poprzez Przełęcz, aż do Szczęśliwego Obozu.

— O tak! — zakończył powitalną rozmowę Rasmussen — posiadam skrzynię z tysiącem tuzinów jaj przy jeziorze Linderman i łódka moja skończona zostanie lada chwilą. Już tylko parę gwoździ... Panowie uważać mnie mogą za dar z ręki losu! Łódki są teraz na wagę złota i wogóle dostać ich nie można.

Wobec powyższego, obaj korespondenci błagać poczęli gorąco, aby Rasmussen wyświadczył im tę łaskę i zabrał ich ze sobą. Poczem żółte dwudziestki przechodzić poczęły odrazu z rąk do rąk. Rasmussen nie raczył się zgadzać, aż wreszcie po długich perswazjach obiecał odstąpić dwa miejsca w swej łódce, po trzysta dolarów każde. Korespondenci wnieśli mu całą zapłatę z góry. Poczem usiedli, gdzie mogli, żeby opisać swoim gazetom spotkanie z Dobrym Samarytaninem i skrzyniami z tysiącem tuzinów jaj — Dobry Samarytanin zaś pomknął kłusem do Szweda, stukającego młotkiem nad jeziorem Linderman.

— Słuchajcie! Ta łódka dla mnie! — brzmiało powitanie. Obiema rękami Rasmunsen wtlaczał Szwedowi pieniądze korespondentów, głodne oczy wpijając w świeżo wykończoną łódka.

Szwed popatrzał z wyrazem niezachwianej równowagi i odmownie potrząsnął głową.

— Ileż płaci tamten? Trzysta? Dobrze. Daje czterysta. Trzymaj.

Próbował wsunąć pieniądze do kieszeni Szweda, ale ten cofnął się przezornie.

— Ja myślę nie. Ja pofiedziałem jemu, że on dostanie łóteczka... Pan poczeka kwilka...

— Oto jest sześćset! Moje ostatnie słowo. Brać i kwita. Tamtemu można powiedzieć, że zaszła omyłka.

Szwed zawahał się.

— Ja myślę... i owszem — wyrzekł wreszcie. Kiedy zaś Rasmunsen zoczył go poraz ostatni, jego misterny słownik trzeszczał we wszystkich szwach, nadaremnie próbując wytłómaczyć „omyłkę” zawiedzionemu człękowi.

Niemczyk pośliznął się i złamał nogę na stromem zbocz, ponad jeziorem Głębokiem, wyprzedził resztę towaru po dolarze tuzin i za otrzymane pieniądze wynajął indjan-tragarzy, żeby go zanieśli z powrotem do Dyea. Lecz gdy nad ranem Rasmunsen odbił od brzegu, obarczony dwoma korespondentami, dwaj jego pozostali konkurenci sunęli opodal.

— Hej, a dużo tam macie? — zawołał jeden z nich, mały i chuderlawy mieszkaniec nowej Anglii.

— Tysiąc tuzinów — odrzucił dumnie Rasmunsen.

— Oho! Ale jak utkniecie po drodze, to was pobiję, chociaż mam tylko osiemset.

Korespondenci proponowali Dawidowi pożyczkę, ale nie przyjął, zato sprytny Yanke zawarł sojusz z pozostałym rywalem, rośłym synem morza, wytrawnym znawcą statków i wody. Obiecał im pomódz, jak zaczną nabierać wodę, tymczasem jednak sam czuł się kiepsko, bo wielki kwadratowy żagiel za każdym podrzutem zanurzał mu łódź aż do pół burty.

Pierwszy wypłynął z jeziora Linderman, ale, zlekceważywszy sobie obciążenie łodzi, wpakował ją na skały pośród burzliwych wirów. Rasmunsen i Yankee, który miał również dwóch pasażerów, przenieśli ładunek brzegiem na własnych plecach, poczem puste łodzie przeciągnęli na linach przez pas złej wody aż do Bennet.

Bennet, jezioro dwudziestopięć-milowej długości i znacznej głębokości, leży w stromych brzegach, niby w tunelu, zawsze pełnym burz. Rasmunsen rozłożył obóz na piasku przy wejściu do jeziora, gdzie leżało już wielu ludzi, którzy pchać się zamierzali prosto w zęby polarnej zimy. Rasmunsen obudził się nad ranem pośród gwałtownych uderzeń południowego wiatru, który, ochłodzony o śnieżne

szczyty i lodem zasłane doliny, dał tak przenikliwie jak najzaciętszy wiatr północny. Pomimo to, jasno było na świecie i Yankee wypłynął pierwszy pod pełnym żaglem. Potem łódź po łodzi ruszała w drogę. Obaj korespondenci aż tryskali entuzjazmem.

— O! dopędzimy go jeszcze przed Jelenim Rozstajem! — upewniali Rasmunsa, podnosząc żagiel *Almy*, obrzucanej pierwszym lodowatym bryzgiem.

Wyznać należy, że chociaż Rasmussen całe życie panicznie bał się wody, tym razem przywarł do dygocącego steru, z determinacją^z zacisnąwszy szczęki. Cenne tysiąc tuzinów leżało tuż w łódce, przed oczyma, ukryte bezpiecznie pod bagażem korespondentów, prócz tego zaś, w sposób bliżej niezbadany unosił się przed temiż oczyma obraz małego domostwa w San Francisco, obciążonego hypoteką tysiąca dolarów.

Piekielnie zimno. Rasmussen co pewien czas wciągał wiosło sterowe i zanurzał drugie, podczas gdy dwaj towarzysze oskrobywali je z lodu. Każdy bryzg wody zamarzał natychmiast, zaimprovizowany maszt żagla wyglądał jak słup lodu. *Alma* przedzierała się uparcie przez spienione, gęstniejące fale, aż szpary otworzyły się pomiędzy deskami czołna. Korespondenci jednak, zamiast zatykać pakułami lub szmatami — uważali za stosowne zeszkrobywać z otworów lód i rzucić za burtę. Nie widać było końca walki. Rozpoczął się wyścig szalony zimą. Łodzi upartym łańcuchem sunęły rozpaczliwie wciąż naprzód i naprzód.

— Cz-cz-czyż nie można przybić do brzegu, żeby ocalić resztki duszy! — wykrztusił jeden z dziennikarzy, dygocąc z zimna, nie [ze strachu.

— Ani mowy! Walić środkiem, bracie, samym środkiem — podtrzymał drugi.

Rasmunsen odpowiadał tylko głupim, zastygłym uśmiechem. Brzegów, skutych lodem, broniły burzliwe piany, na środku zaś rzeki jedyną nadzieją było unikanie wielkich fal. Zniżenie żagla groziło przewróceniem łodzi. *Alma* raz poraz wymijała czołna uwięzione na skałach, jedno z tych czołen dostrzeżono już w chwili, gdy zalewał je ogromny bałwan. Jakaś mała, nieobciążona łódeczka z dwoma ludźmi załogi wywróciła się nagle do góry dnem.

— Uw-w-ważaj, bracie! — spróbował raz jeszcze szczękający zębami dziennikarz.

Rasmunsen uśmiechał się tylko i ścisnął ster zcierpłymi palcami.

Kilkanaście razy odprysk fali chwycił wielką, kwadratową rufę *Almy* i odrzucał ją z kursu, aż tylne ref-bandy trzaskały przy każdym szarpnięciu żagla. Tylko natężeniem wszystkich sił udawało się kierowcy zawrócić pod wiatr. W takich chwilach uśmiech Rasmunsena przechodził w skurcz, przejmujący grozą biedaków-dziennikarzy. O sto jardów od brzegu wznosiła się samotna skała. Przemknęli obok. Z jej szczytu, atakowanego przez fale, dochodził głos ludzki tak przeraźliwy, że chwilami nawet przeszywający się przez ryk burzy. W chwilę

później *Alma* była już daleko, zaś cypel skalny czer-
niał, jak plama, pośród pian.

— Tam tkwi Yankee! A gdzie nasz mary-
narz? — huknął jeden z dziennikarzy.

Rasmussen poprzez ramię mówiącego poszu-
kał spojrzeniem czarnego żagla. Od godziny już
rzucił okiem na roztrzepotaną przed nim płachtę.
Odległość zmniejszała się oczywiście, ponieważ ża-
giel rósł. Teraz nie widać go było wcale. Widocz-
nie marynarz naprawił szkody i nadrabiał czas
stracony.

— Patrzcie! Jest!

Obaj pasażerowie przestali oskrobywać lód że-
by przyjrzeć się lepiej. Dwadzieścia mil jeziora le-
żało poza nimi — dość miejsca dla hulanki fal.
Pośród bałwanów, niby bóg nawalnicy, marynarz
miał się w swej łodzi. Ogromny żagiel porywał
łódkę ponad grzbiety fal i ciskał potem trzeszczącą
i rozkołysaną w otwarte przepaści wodne.

— Takiego spryciarza fale nie chwycą!

— Przemknie im pod samym nosem!

W tej samej chwili wielki czarny żagiel znikł
z oczu poza ogromnym bałwanem. Przewaliła się
fala następna, potem druga i jeszcze jedna, lecz
łodzi nie było widać. *Alma* przemknęła przez to
miejsce. Dostrzeżono z niej mały wirek wiosel
i skrzyń. O kilkanaście jardów dalej wypłynęło
na sekundę ramię ludzkie i ciemna głowa przebiła
powierzchnię pian.

Cicho. Kiedy na horyzoncie ukazał się wreszcie brzeg pożądany, fale urosły i przeskakiwać zaczęły przez burłę tak uparcie i często, że dwaj pasażerowie przestali czyszczać lód, żeby wreszcie wyczerpywać wodę. Ale to nic nie pomogło, więc huknąwszy coś do Rasmunsa, rzucili się na pakunki. Mąka, słonina, fasola, dery, piecyk, liny, wszystko co trafiło pod rękę — poszło precz. Łódka odwdzięczyła się za to natychmiast, nabierając mniej wody i wypływając wyżej.

— Dosyc! — huknął surowo Rasmunsa, widząc, że chwytają mu skrzynię z jajami, leżącą po wierzchu.

— Do d-d-djabła z towarem! — ryknął dziko pasażer o dygoczących szczękach. Obaj poświęcili przecież cały ekwipunek, prócz notatek, aparatów fotograficznych i zapasu błon filmowych. Wobec czego człek zawzięty nie chciał pominąć jaj. Schylił się nad skrzynią i ciągnął ją z wysiłkiem do burty.

— Zostawić to, powiadam! Położyć natychmiast!

Rasmunsa wydobyl 'rewolwer i celował spokojnie, sterując tymczasem lewą ręką. Dziennikarz stał na brzegu burty, chwiejąc się w tył i naprzód; twarz zastygła mu w kurczu mściwej, milczącej wściekłości.

— O Boże! — Krzyknął jego towarzysz, ciśnięty nagłą siłą na dno łodzi, twarzą ku ziemi. W chwili gdy Rasmunsa odwrócił był uwagę od steru, *Almę* chwycił w obroty potężny wir. Tylne rabandy stra-

ciły wiatr, żagiel zwiśł bezwładnie i przerzucił się z burty na burtę; bom, sunąc poprzez łódź ze straszliwą siłą, zdzielił stojącego człowieka po głowie i zepchnął do wody. Maszt i żagiel poszły również na pastwę fal. Jeden bałwan runął do łodzi, w chwili gdy straciła swój kierunek. Rasmunsen rzucił się do wyczerpywania wody.

Przez następne pół godziny minęło *Almę* kilkanaście łodzi — większych i mniejszych wystraszonych łódeczek, niesionych przymocą wedle woli wiatru. Nagle barka dziesięciotonnowa, chcąc uniknąć nieuchronnej zguby, zniżyła żagiel na nawietrzną i runęła na *Almę*.

— Na bok! Na bok! — ryczał Rasmunsen.

Lecz niska krawędź zgrzytnęła już o ciężki statek i pozostały dziennikarz, skwapliwie wdrapał się na barkę. Rasmunsen skoczył jak kot na swoje skrzynie i zgrabiałemi rękoma próbował złączyć liny.

— Właż do nas! — huknął ku niemu z barki jakiś człek o pijackiej twarzy.

— Mam tu tysiąc tuzinów jaj, do licha! — odwrzasnął Rasmunsen. — Dajcie mi linę! Zapłacę!

— Właż do nas! — zawyli chórem tamci.

Białogrzywy bałwan przełamał się tuż nad nimi, zalał barkę i nieomal zatopił *Almę*. Ludzie otrząsnęli się z wody i klęli na czem świat stoi, nastawiając z powrotem maszt. Rasmunsen zaklął również i wrócił do swego zajęcia — gorączkowego wyczerpywania wody. Maszt i żagiel, niby kotwica, wciąż

jeszcze uczepione na szkotach, utrzymywały łódź przeciwko wiatrowi i fali.

W trzy godziny potem, zgrabiały, wycieńczony, niczem lunatyk, lecz wciąż jeszcze wyczerpujący wodę — przybił Rasmussen do zlodowaciałego brzegu, przy Jelenim Rozstaju. Dwaj litościwi ludzie — kurjer pocztowy i jakiś pół-krwi „voyageur” wciągnęli łupinę do zatoczki, jej właściciela zaś na piasek. Obaj mieli zamiar odjechać nazajutrz, na łódce typu Peterborough, tymczasem udzielili schronienia bliźniemu w swoim szałasie, chroniącym nieco od burzy. Nad ranem wyruszyli, Rasmussen jednak wolał pozostać z towarem. Od tego czasu rozchodzić się zaczęła po kraju fama o człowieku wiozącym tysiąc tuzinów jaj. Roznieśli ją poszukiwacze złota, którzy zdążyli dotrzeć do Dawson przed zamrożeniem wód. Siwowłose wygi z Czterdziestej Mili i Circle City, żółtodzioby o bezzębnych szczękach i zmęczonym fasolą żołądku — marzyć poczynali na temat żółtych kurczątek i zielonej trawki, na samą wieść o zbliżaniu się Wielkiego Dostawcy Jaj. Dyea i Skaguay interesowało się jego istnieniem i informowało o postępy podróży u każdego przybysza z nad jezior, Dawson zaś — pełne złota lecz pozbawione jajeczniczy Dawson — napadało natarczywie każdego nowego przybysza, wierząc, że tym razem, będzie to napewno ów pożądaný.

O tem wszystkim nie wiedział Rasmussen zgola nic. Na drugi dzień po katastrofie, pozatykał szpary swojej łodzi i wyruszył. Okrutny wschodni

wiatr dmuchał prosto w zęby z jeziora Tagish, ale Rasmussen założył wiosła i machał nimi dzielnie, chociaż połowę czasu stracić musiał na oskrobywanie lodu z burt; wtedy wiatr znosił *Almę* z powrotem. „Zgodnie z obyczajami okolicy” Rasmussen przybił do brzegu, a raczej „przybiło go do brzegu” przy Ramieniu Wiatrów. Jezioro Tagish trzy razy porywało go ku środkowi i trzy razy zbliżało do brzegu. Wreszcie jezioro Marsh — zatrzymało upartego wędrowca w okowach z lodu. *Alma* potrzaskała w chwili zamarzania fal — ale ochroniła ładunek. Ładunek ów przydźwigał Rasmussen nadludzkim wysiłkiem na brzeg, odległy o trzy mile, tam pobudował dla swych skarbów schronienie, które przetrwało lata i pokazywane było później przez ludzi, znających historję Dostawcy Jaj.

Pięćset mil lodu dzieliło go jeszcze od Dawson. Droga wodna przestała istnieć. Wobec tego Rasmussen, ze złowrogim błyskiem szaleństwa w oczach — ruszył piechotą z powrotem wzdłuż jezior. Ile wycierpiał w tej podróży samotnej, partej tylko siekierą, jednym kocem i garstką fasoli — pozostanie dla zwykłych śmiertelników tajemnicą. Tylko ci, co znają podróże polarne — potrafią zrozumieć. Dość, że na przełęczu Chilcoot dopadła go burza śnieżna, poczem zostawił dwa palce prawej nogi u chirurga w Owczym Obozie. A jednak Rasmussen stał prosto i zmywał naczy-
nia w kuchni stateczku *Pawona* aż do Puget Sound,

następnie zaś podawał węgiel palaczowi na okręcie handlowym, idącym do San-Francisco.

Po pewnym czasie brudny, zarosnięty człeczyna w łachmanach sunął nerwowo po śliskiej posadzce wielkiego banku, żeby wyprosić drugą pożyczkę. Chudość twarzy widniała poprzez niechlujny zarost, oczy zapadły w głąb czaski, świecąc zimnym ogniem. Ręce stały się żyłaste i twarde od pracy nad siły, poza paznogie zapadł głęboko węglowy pył. Człek opowiadał coś niejasno o transporcie jaj, o lodzie, wiatrach i burzy. Gdy jednak odmówiono mu udzielenia drugiej pożyczki, przewyższającej tysiąc dolarów — słowa dziwaczego człka stały się jeszcze bardziej pogmatwane i dotyczyły prawie wyłącznie cen na psy, żywność dla psów, oraz sani, nart i mokassynów. Dano mu więc półtora tysiąca — czyli więcej, niż wart był jego domek — i odetchnięto z ulgą, kiedy niebezpieczny interesant nabazgrał swój podpis i zamknął za sobą drzwi.

W dwa tygodnie później, Rasmussen wędrował przez Chilcoot, mając ze sobą troje sani, zaprzęgniętych w piętnaście psów. Sam prowadził jeden zaprząg, dwaj indjanie — dwa pozostałe. Koło jeziora Marsh odnaleźli schronienie i naładowali sanie. Ale szlak nie był jeszcze utorowany.

Rasmussen szedł pierwszy, jemu więc przypadła w udziale ciężka praca torowania drogi przez sypki śnieg i chropawe zwały lodowe po rzekach. Zdaleka widywał za sobą smukłe dymy ognisk,

wznoszące się z głębi lasów i nie rozumiał czemu ludzie obozują i nie posuwają się naprzód. Obcy był bowiem Rasmussen w kraju i nie znał jego zwyczajów. Nie mógł zrozumieć tego, co tłumaczyć mu próbowali Indianie. Podróż o tej porze roku uważali oni za głupotę, kiedy jednak odmawiali posłuszeństwa, nie chcąc zwijać obozu o poranku—Rasmussen groźbą rewolweru zapędzał ich do pracy.

Kiedy w pobliżu Białego Konia zapadł się pod lód i odmroził jedną nogę, wrażliwszą teraz i boleśniejszą po pierwszym odmrożeniu—Indianie pewni byli, że zarządzi odpoczynek. Lecz Rasmussen poświęcił jedną kołdrę na onuce i szedł po dawnemu naprzód w improwizowanych mokassynach, wielkości dobrego wiadra. Wziął na siebie pracę najcięższą, wobec czego i Indianie nie mogli go nie szanować, chociaż znacząco stukali palcem w czoło, gwarząc niekiedy po swojemu o białym panu. Pewnej nocy próbowali zbiedz, lecz syk kul rewolwerowych po śniegu zmusił ich—gniewnych, lecz pokonanych—do powrotu. Wobec tego—będąc tylko dzikusami z Chilcoot—poczęli obmyślać wspólnie plan zabicia białego; spał jednak jak kot i nie dawał im okazji ani w dzień, ani w nocy. Niejednokrotnie próbowali wytłumaczyć upartemu panu znaczenie ognisk, dymiących po lasach, ale nie rozumiał, co mu tłumaczyli i stał się jeszcze podejrzliwszy. Przy najmniejszych objawach buntu, gotów był natychmiast ochłodzić gorączkę ostrem zimnem kuli.

I tak bez końca: zbuntowani ludzie, dzikie psy, praca krusząca wszelkie siły. Walczył z ludźmi, żeby pozostali przy saniach, walczył z psami, żeby nie ruszyły jaj, walczył z bólem nogi, która nie chciała się goić. Nowotworzącą się tkankę natychmiast przeżerał mróz, aż wreszcie rozwarła się ropiąca rana, wielkości dłoni. Nad ranem, kiedy wstawał pierwszy i pierwszy brał się do pracy, czuł zawrót głowy i prawie mdlał z bólu; zato w dzień ból nie miał, aby ożyć znów wieczorem, kiedy nadchodziła pora spania. A jednak Rasmussen, który całe życie spędził przy biurku jako urzędnik, przewyższył wytrzymałością miejscowych Indjan i nawet zmęczyć zdołał psy. Sam nie wiedział, ile cierpiał i jak ciężko pracował. Będąc człowiekiem, który żyje zawsze tylko jedną uporczywą myślą — poddał jej się bez zastrzeżeń. Przed sobą widział Dawson, ze sobą czuł tysiąc tuzinów jaj i pomiedzy temi dwiema wartościami ślaniało się jego „ja”, próbując z całych sił złączyć je obie w jeden złoty punkt. W tym złotym punkcie czekało pięć tysięcy dolarów, spełnienie jednej powziętej idei i — stworzenie jakiegobądź drugiej. Wszystkie inne pośrednie sprawy, traktował raczej automatycznie. Nie widział nic na świecie, a raczej spostrzegał jakby przez matową szybę, nie darząc niczego żywszą myślą. Pracę rąk spełniał z mądrością maszyny; pracę umysłu — również. Twarz nabrała mu półprzytomnego wyrazu, tak że bali się jej nawet Indjanie, nie rozumiejąc straszного białego człowieka.

ka, który uczynił ich swymi niewolnikami i każe spełniać wraz ze sobą jakieś dziwne, bardzo dziwne szaleństwa.

Na jeziorze La Barge chwycił podróżnych ostry mróz, ze sześćdziesiąt kilka poniżej zera. Idąc dzień cały z otwartymi ustami, żeby lżej oddychać, Rasmussen przeziębził płuca i odtąd męczył go już nieustannie suchy, głęboki kaszel, szczególnie dotkliwy w pobliżu dymu i podczas wszelkich długotrwałych wysiłków. Na rzece Trzydziestej Mili napotykali całe pasma otwartych wód, połączone niebezpiecznymi przesmykami lodu, między którymi ziały oka „lodu pozornego”, a raczej powleczonej śniegiem kaszy lodowej. Nie potrafiłby nikt rozpoznać tych miejsc zdaleka, zresztą Dawid wcale się o wywiad nie troszczył i poprostu ruszył na oślep, groźbą strzału zmuszając za sobą i Indjan. Na „mostkach” lodowych nietrudno było zato przedsięwziąć pewne ostrożności. Mijano je wpoprzek, na nartach, niosąc w rękach długie skrzyżowane drągi, które w razie wypadku zatrzymałyby się o lód. Każdy człowiek, po przejściu, wołał za sobą psy. Na takim to „mostku”, gdzie brak grubego lodu maskował śnieg — jeden z Indjan znalazł swój koniec. Zapadł się tak szybko i gładko, jak nóż w śmietanę. Prąd połknął go i uniosł pod lód.

Tejże nocy uciekł drugi, korzystając z bladego światła księżyca. Rasmussen nadaremnie szpiłkował ciszę kulami rewolweru, z którym, nawiasem mówiąc, postępował bardziej odważnie, niż umie-

jętnie. W trzydzieści sześć godzin później, Indjanin dotarł do obozu policji przy Wielkim Łososiu.

— Um-um-m głupi człowiek — co wy nazywać — stracona głowa... — tłumaczył przybysz zdumionemu komendantowi posterunku. — He? Tak, tak, zupełnie głupi człowiek. Jaja, jaja, ciągle opowiadać jaja — wy rozumieć? On tutaj iść.

Po upływie trzech dni przybył istotnie Rasmussen, powiązawszy ze sobą sanie i sprzęgłszy wszystkie psy razem. Było to nad wszelki wyraz niewygodnie, gdyż w miejscach trudniejszych należało przeprowiać sanie kolejno, potem zczepiać je nanowo. Rasmussen nie przejął się bynajmniej wiadomością, udzieloną mu przez komendanta posterunku, że jego Indjanin zbiegł w kierunku Dawson i o tym czasie brnie [zapewne od Selkirk ku Stewart. Nie okazał też zainteresowania, dowiedziawszy się, że policja utorowała drogę aż do Pelly; doszedł już do stanu zupełnej rezygnacji, kiedy z obojętnym fatalizmem przyjmuje się zarówno złe jak dobre kaprysy losu. Kiedy jednak dowiedział się, że w Dawson panuje ciężki głód, uśmiechnął się, zarzucił uprząż na psy — i wyruszył.

Na następnym już postoju wyjaśniło mu życie tajemnicę dymiących po lasach ognisk. Kiedy z Wielkiego Łososia rozeszła się wieść o utorowaniu drogi aż do Pelly, — ogniska stały się odrazu zbyt liczne i Rasmussen, siedząc przy swem samotnem płomieniu, widział całe szeregi mknących sani. Pierwsi przejechali kurjer i metys, którzy ratowali go przy

jeziorze Bennet, następnie listonosze, wiozący na dwóch saniach pocztę dla Circle City, wreszcie długa, różnolita procesja mieszkańców Klondike, zdążających w głąb kraju. Ludzie i psy wyglądali tego i świeżo, zaś z Rasmunsa i jego zaprzęgu pozostały kości i skóra. Dopóki droga nie była ubita, podróżowano tylko jeden dzień na trzy, pozostałe zaś dwa odpoczywano, by zebrać siły do czasu utworzenia szlaku; zato Dawid męczył się i pocił codziennie, łamiąc siły swych zwierząt.

Sam był niezłomny. Mijający dziękowali mu teraz, za wysiłki na ich korzyść czynione — dziękowali wesoło a rubasznie, ci tędzy, zdrowi, beztroscy ludzie; Rasmunsa rozumiał — ale nie odpowiedział nic. Nie chował nawet w sercu urazy. Wszystko to było dlań sprawą nieistotną. Idea — a raczej fakty stojące poza nią — nie została przecież zmieniona. Tutaj jest on i tysiąc tuzinów jaj; tam oto jest Dawson. Problem pozostał bez zmiany.

Koło Małego Łososa głodne, źle karmione psy, dobrały się do żywności pana, poczem pozostała mu tylko fasola — duża brunatna fasola, prostacko pożywna, podwajająca objętość jego brzucha na dobre dwie godziny. Kierownik posterunku handlowego w Selkirk wywiesił na drzwiach ogłoszenie, że od dwóch lat nie szedł w górę Yukonu żaden statek, wobec tego ceny na żywność „nie dadzą się określić”. Ofiarował jednak Dawidowi nieco mąki, po cenie: jedno jajko za szklanekę mąki. Rasmun-

sen odmownie pokiwał głową i ruszył dalej. Nieco poniżej placówki udało mu się kupić dla psów kilka zmarzłych skór końskich. Konie zabijali rzeźnicy w Chilcat na mięso, skóry zaś i odpadki zakupywali zwykle okoliczni indjanie. Rasmussen próbował sam przeżuwać kawałki skór, ale włosie drażniło zbyt nieznacznie ranki po twardej fasoli.

W Selkirk spotkał pierwszych uchodźców ze zgłodniałego Dawson. Odtąd widywał ich po drodze wielu: „Niema żywności!” — mówili w kółko. „Niema żywności, musieliśmy uciekać!” „Wszyscy chowają świece, mówią, że świece pójdą w górę na wiosnę!” Mąka po półtora dolara funt, ale nikt nie chce sprzedać.

— Jaja? — odpowiedział któryś z uchodźców. — Po dolarze sztuka, ale zupełnie nie można dostać. Rasmussen policzył szybko. — Dwanaście tysięcy dolarów — wymówił głośno.

— Co takiego? — zapytano.

— E, nic — odparł zagadnięty i pognał psy.

Kiedy dotarł do rzeki Stewart, (siedemdziesiąt mil od Dawson) pięciu psów już nie miał, reszta zaś padała w uprzęży. Więc pomagał im ciągnąć, chociaż sam też nie miał siły. Pełznął z trudnością po dziesięć mil dziennie. Jego kości policzkowe i nos, kłusane przez mróz niezliczone razy, stały się czarno-czerwone. Wielki palec prawej ręki, ciągle oddzielony od pozostałych palców drągiem do kierowania — był również odmrożony i bolał nieznacznie. Potwornie wielka mokassyna po dawnemu otulała

chorą nogę, lecz jakieś nowe dziwne bóle strzykać poczęły aż do uda. Przy Sześćdziesiątej Mili wyczerpały się resztki fasoli; pomimo to Dawid postanowił nie ruszać jajek. Nie mógł przekonać sam siebie, że ma do tego prawo, ślaniał się więc na głodno aż do rzeki Indian. Tutaj świeżo zabity jelen i jakiś gościnny stary wyga, dostarczyli nowych sił podróżnemu i jego psom. Koło Ainslie, Rasmussen został wynagrodzony za wszystkie cierpienia, kiedy jakiś człek spotkany, który przed pięciu godzinami opuścił Dawson, zapewnił solennie, że za jedno jajko zapłacą w mieście chętnie dolara i ćwierć.

Na stromy brzeg za koszarami miastą Dawson wdrapywał się szkielet Rasmunsena o sercu bijącym i dygocących kolanach. Psy były tak słabe, że musiał dać im chwilę odpoczynku; sam oparł się o drąg i stał półprzytomny i półżywy. Mijał go właśnie jakiś człowiek, otulony w bogatą, wspaniałą dachę niedźwiedzią. Spojrzał ciekawie na Rasmunsena, poczem podejrzliwym okiem sięgnął ku trzem wysoko wyładowanym saniom.

— Co tam macie? — zagadnął.

— Jaja — odrzekł ochryple Rasmussen, nie mogąc wznieść głosu ponad szept.

— Jaja! Hejha! Hophop! — Skoczył w górę, zawirował z szalonej uciechy i zakończył dziesięcioma krokami wojennego tańca.

— Ależ chyba nie to wszystko?

- Owszem, wszystko.

— Słuchajcie! to wyście pewnie ten sławny dostawca, którego tutaj przezwali „Człowiek-Jajko”? He? — obchodził Rasmunseną dookoła i oglądał ciekawie.

Rasmunsen nie wiedział napewno, ale przypuszczał, że tak jest właśnie. Wobec tego nieznamy uspokoił się nieco.

— Po ile myślicie brać za ten towar? — zagadnął z rozmysłem.

Rasmunsen nabrał zuchwałości. — Po półtora dolara — odpowiedział.

— Zrobione! — pochwycił skwapliwie tamten. — Dajcie mi tuzin.

— Ja... ja... myślę... po półtora dolara... sztuka... — tłumaczył wahająco Rasmunsen.

— Rzecz prosta. Słyszałem przecież. Dajcie-no odrazu ze dwa tuziny. Oto piasek.

Nieznamy wy dobył z pod futra tęgi mieszek złotego piasku, wielkości niezłej kielbasy i poklepał nim od niechcienia drag Rasmunseną. Dawid poczuł dziwne drżenie we wnętrzościach, mimowolne falowanie nozdrzy i nieodpartą ochotę do płaczu. Tymczasem wokoło jego wyładowanych sani zaczął gromadzić się tłum ciekawych. Co chwila ktoś żądał, by mu sprzedano jajek. Rasmunsen nie posiadał wagi, ale człowiek w niedźwiedziem futrze dostarczył mu jej skwapliwie i przemocą odważał złoty piasek, podczas gdy Rasmunsen obliczał jaja. Po upływie pół godziny, wokoło cudownych sani panował już ścisk, gwałt i tumult. Każdy chciał

kupić, i każdy chciał kupić pierwszy. W miarę jak rosło podniecenie mieszkańców wygłodzonego Dawson — Rasmussen chłódl i opanowywał sytuację. Tak być nie może. Dlaczego wszyscy chcą kupić natychmiast? Lepiej odpocząć trochę i zbadać stan rynku. Może jaja warte są po dwa dolary sztuka? W każdym razie jest już pewność, że po półtora sprzedać można. — Dosyć! — huknął wreszcie, sprzedawszy kilkaset. — Jestem zmęczony drogą. Najpierw wyszukam sobie chatę, a potem możecie przyjść do mnie i kupić.

Szmer niezadowolenia rozległ się w gromadzie, ale posiadacz niedźwiedzich futer podtrzymał Rasmunseną gorąco. Dwadzieścia cztery śliczne jajeczka postukiwały w jego obszernych kieszeniach — nie dbał więc o to, czy najedzą się inni. Zresztą, widać było istotnie, że Rasmussen ledwie trzyma się na nogach.

— Jest tu wolna chata, drugi róg na prawo za Monte Carlo nowy znajomy — powiedział gościnnie. — Na szybie namalowany syfon. Coprawda to nie moja chata, ale powierzona mojej opiece. Idzie bardzo tanio, po dziesięć dolarów dziennie. Wprowadźcie się tam, ja przyjdę trochę później. A nie zapomnijcie o syfonie na szybie!

— Tra-la-la — przyspiewywał sobie w chwili później, śpiesząc do własnej izby. — Będę jadł jajeczka! Będę wspominał dom!

Po drodze do wskazanej chaty Rasmunsem poczuł, że jest głodny i kupił nieco żywności w skle-

dzie spółki N. A. T. & T. Co, kupił też kawałek mięsa u rzeźnika i suchej łososiny dla psów. Chate znalazł z łatwością. Zostawiwszy narazie psy w uprzęży, rozpałił ogień i nastawił wodę na kawę.

— Półtora dolara sztuka — dwanaście tuzinów — osiemnaście tysięcy dolarów — mrucał sam sobie bez końca, nie przerywając zresztą roboty.

W chwili, gdy rzucał befszyk na patelnię, drzwi skrzypnęły cicho. Spojrzał. Na progu stał ów nieznajomy w niedźwiedzim futrze. Wyglądał gniewnie, jakby przyszedł na niemiłą przeprawę. Spojrzawszy jednak na Rasmunsa — zmieształ się nagle.

— Ja... powiadam właśnie — rozpoczął i zamilkł.

— Czyżby już po komorne? — pomyślał zdziwiony Rasmusen.

— Chciałem powiedzieć tylko... że... te jaja są zepsute.

Rasmusen zdrzął. Miał wrażenie, że go ktoś niespodzianie a mocno zdzielił pięścią między oczy. Ściany chaty zakołowały nagle. Poszukał ręką oparcia, żeby nie upaść. Ręka spoczęła na piecyku. Ostry ból i swąd smalonego ciała powróciły przytomność człowiekowi.

— Ach tak — wyrzekł zwolna, szukając miejsca po kieszeniach — Życzycie sobie zwrotu pieniędzy.

-- Pieniądze głupstwo — odrzekł przybyły. — Ale... ale. czybyście tak nie znaleźli kilku dobrych jajeczek?

Rasmunsen pokiwał głową. — Ech, weźcie już lepiej pieniądze.

Ale gość odmówił stanowczo. — Przyjdę później, odpocznijcie trochę — powiedział. — Wtedy zobaczymy jak sprawy stoją.

Rasmunsem wciągnął skrzynię do izby i wydobyl towar. Ruchy miał zupełnie spokojne. Wziął siekiere i — jedno po drugim — rozrąbywać poczał jaja. Połówki ogłądał starannie i rzucał na podłogę. Najpierw sięgał do kilku skrzyń, potem powoli, kolejno, z rozmysłem opróżniać poczał skrzynię po skrzyni. Stos na podłodze rósł z każdą chwilą. Kawa syczała na płytce piecyka i swąd palonego mięsa napełniał izbę. Rasmunsen rąbał uparcie i monotonnie, aż wykończył ostatnią skrzynię.

Ktoś zapukał do drzwi raz i drugi, wreszcie wszedł, nie otrzymawszy odpowiedzi,

— Cóż za skandal! — zauważył, przystanawszy u progu i patrząc uważnie na to co się działo.

Rozbite jaja odmarzały w ciepłe izby i ohydna woń stawała się coraz mocniejsza.

— Pewnie na statku — poddał gość.

Rasmunsen spojrział mu w twarz niewidzącymi oczyma.

— Jestem Murray, Duży Jim Murray, wszyscy mnie tu znają — nacierał dalej przybysz. — Słyszałem właśnie, że wasz towar się zepsuł, więc przyszedłem ofiarować wam dwieście dolarów za te odpadki. Nie jest to tak pożywne dla psów jak łoś, ale bądź co bądź — ujdzie.

Rasmussen stał jak skamieniały. Ani drgnął.

— Idź do diabła — wymówił beznamiętnie.

— Ależ pomyślcie tylko! Pochlebiam sobie, że cena jest niezła za taką sałatkę, he? Dwieście na stół. Cóż wy na to?

— Idź do diabła — powtórzył łagodnie Rasmussen. — A przedewszystkiem wyjdź z tej izby.

Murray rozdziawił usta z wielkim szacunkiem, poczem wyszedł ostrożnie, cofając się tyłem i nie odrywając oczu od twarzy gospodarza.

Rasmussen wyszedł w ślad za nim i odprzągnął psy. Cisnął im cały zapas łososiny i odwiązał linę, przytrzymującą sanie, Potem wrócił do izby, ciągnąc linę za sobą.

Dym spalonego mięsa zwilżył mu oczy. Stał na ławce, przerzucił linę poprzez belkę sufitu i rzutem oka zmierzył odległość końca linki od ławki. Nie zadowolona go widocznie, gdyż postawił jeszcze stołek i wszedł nań ostrożnie. Jeden koniec linki umocował dobrze, na drugim zrobił pętlę. W pętlę tę starannie wsunął głowę. Potem kopnął stołek z pod siebie.

POGARDA KOBIET

Pewnego razu Freda i pani Epingwell skrzyżowały szpady. Freda była młodą greczynką i w dodatku tancerką. W każdym razie twierdziła, że jest greczynką. Niektórzy ośmielali się podawać to w wątpliwość, albowiem piękna twarzyczka, aczkolwiek klasyczna, wyrażała zbyt wiele siły i namiętności, zaś wzburzone fale piekieł podnoszące się niekiedy w oczach dziewczyny, mąciły utarte pojęcie o jej pochodzeniu. Widok ów, udzielony przez los niejednej osobie — płci męskiej — pozostawał zwykle przez długie lata niezapomniany. Freda nigdy nie mówiła o sobie, przyznać zaś należy, iż w chwili spokoju i odpoczynku rysy jej twarzy były niewątpliwie greckie. Futra pięknej tancerki składały się z okazów najwspanialszych jakie spotkać było można od Chilcoot do St. Michael, imię jej zaś brzmiało często na ustach mężczyzn.

Zato pani Epingwell była żoną dowócy policji. A więc: sfera najwyższej wzniesiona, w ciasnej orbi-

cie zamknięta, zwana przez profanów „kliką oficjalną”.

Charley z Sitki odbywał z panią kapitanową wielką podróż. Głód przycisnął wtedy nieszczęsnych wędrowców i życie człowieka mniej było warte niż kubek mąki. Opinia Charley'a z Sitki wywyższała potem panią Epingwell ponad wszystkie kobiety. Coprawda Charley był Indjaninem i sądy jego były nader pierwotne, a przecież słowu jego wierzone święcie i wyrok jego znaczył niemało we wszystkich obozach kraju północy.

Zarówno tancerka jak kapitanowa stworzone były do zwycięzania serc, do poddawania mężczyznom swej woli. Każda po swojemu i każda inaczej. Pani Epingwell królowała w domu i rządziła tłumem niezadomowionym, zamieszkującym koszar rządowe, nie wyłączając, rzecz prosta, naczelników policji, korpusu sądowego i wszelkiego rodzaju urzędników. Freda królowała — nieco niżej — w mieście, lecz mężczyźni, których ujarzmiła, byli tymi samymi, którzy społecznie należeli do koszar rządowych i pijali herbatę z ciasteczkami z rączek pani Epingwell w jej pięknym drewnianym domu na wzgórzu. Każda z tych dwu kobiet wiedziała o istnieniu drugiej. Lecz życie ich było sobie obce, niby dwa bieguny i chociaż nieraz jedna słyszała rozmaite szczegóły o drugiej i miała ochotę zapytać o coś więcej — nie wiedziała nawet jak postawić pytanie. Wszystko pozostałoby po staremu, gdyby po pierwszym lodzie nie zjawiała się była w Dawson nowa

istota w postaci pewnej modelki posiadającej pierwszorzędną zaprząd i drugorzędną, chociaż międzynarodową reputację. Loraine Lisznayi — niepozbawiona aliteracji, talentu dramatycznego, oraz krwi węgierskiej — przyspieszyła starcie, spowodowała zetknięcie dwóch obcych mocy. Z jej to powodu pani Epingwell zstąpiła z domostwa swego na wzgórze i odwiedziła mieszkanie Fredy, ta ostatnia zaś wtargnęła z nizin miasta na wielki bal u Gubernatora, sprawiając tem konfuzję i zamieszanie.

Bardzo niewielu ludziom znana była dokładnie owa cząstka historii starożytnej Klondike. Zaś z pośród tych niewielu mało było takich, którzy osądzić potrafili godnie postępkę pięknej Fredy oraz czci-godnej żony kapitana. Obecnie rozumiemy je wszyscy dzięki Charley'emu z Sitki. Z jego to ust padły słowa, które odmalować mają poniższy obraz. Nie przeczy to zresztą faktom, iż Freda sama obdarzyła poufałą rozmówką niegodnego słów niniejszych pisarza, oraz, że i pani kapitanowa raczyła zrobić pewną wzmiankę.

II

Floyd Vanderlip robił wrażenie człowieka silnego. Nie unikał ciężkiej pracy, ani nędznego chleba, jak stwierdzają wcześniejsze niż to opowiadanie wspomnienia towarzyszy. W niebezpieczeństwie miał odwagę lwa, kiedy zaś — przez czas pewien —

musiał trzymać w posłuchu dobrze pół tysiąca zgłodniałych ludzi, zauważono, iż nigdy chłodniejsze spojrzenie nie chwyciło iskry słonecznej na muszce strzelby. Jedną tylko posiadał słabość, lecz nawet ta jedna miała swe źródło w sile: brakowało jednolitości poszczególnym zdolnościom tego człowieka. Serce jego milczało potulnie przez lat kilka, przeżytych o mięsie jelenia i łososia w pogoni za słonecznymi skarbami Eldorado po chmurnej pustyni północy. Kiedy jednak Vanderlip zatknął swoje znaki na jednej z najbogatszych działek Klondike, serce nie omieszkało zabrać głosu po cichu. Kiedy zaś wreszcie Floyd zajął okazałe stanowisko społeczne, jako jeden z królów Bonanzy, serce pozwoliło sobie na żądania w tonie stanowczym. Vanderlip przypomniał sobie nagle pewną panienkę w Stanach. Odtąd pewna myśl uporczywa nie dawała mu spokoju. Nie ta nawet, że może panienka czeka od lat tyłu, lecz ta poprostu, iż młoda żona byłaby nader miłym dodatkiem do życia, które mężczyzna pędzi pod 53-cim stopniem szerokości północnej. Wobec tego Floyd Vanderlip wystosował odnośne pismo, załączył czek dostatecznie hojny, aby starczył na pokrycie wszystkich wydatków, nie wyłączając wyprawy i towarzyszki podróży — poczem zaadresował kopertę do pewnej panny Flossie. Flossie? Reszty domyślić się nie trudno. Vanderlip pobudował tymczasem wygodny domek na swojej działce, zakupił drugi domek w Dawson, poczem obwieścił dobrą nowinę swoim przyjaciółom.

I oto w tej właśnie chwili wyszedł na jaw brak jednolitości jego charakteru. Czekanie zapowiadało się przewlekle i uciążliwie, zaś serce zbyt długo trzymane na uwięzi, kategorycznie wypowiedziało posłuszeństwo. Flossie jechała dopiero—Lorraine Lisznayi była na miejscu. I nie tylko była, lecz nawet zastawiała sidła, albowiem międzynarodowa reputacja zaczęła jej nieco ciążyć. Piękność wyszła już bowiem z tych dobrych lat młodocianych, w których ongiś pozowała malarzom „do królowych” lub przyjmowała przez lokaja bilety wizytowe ksiąząt i kardynałów. Finanse wymagały również uzdrowienia. Zważywszy to wszystko, Lorraine nie była przeciwną nawiązaniu bliższej znajomości ze złotym królem, którego skarbów sześć cyfr oznaczyć nie mogło. Niczem stary weteran, który po latach ciężkiej służby szuka sobie ciepłego kąta,—Lorraine Lisznayi przybyła na Północ, żeby znaleźć przystań małżeńską. Tak więc, dnia pewnego, oczy jej rzuciły błyskawicę na Floyda Vanderlipa, w chwili gdy ten ostatni zakupywał dla Flossie piękne płótna stołowe w sklepie P. C. Company. Sprawa została zdecydowana „od ręki”.

Jeśli mężczyzna jest wolny, wiele rzeczy ucho-
dzi mu bezkarnie, kiedy jednak jest tak nieprze-
zorny, że związał się lub związać zamierza węzła-
mi rodzinnymi — społeczeństwo przywłaszcza sobie
natychmiast prawo wglądania w jego życie. Tak
samo rzecz się miała ze sprawami Lloyda Vander-
lipa. Narzeczona wyruszyła już w drogę, miasto za-

szemrało więc niechętnie, kiedy Loraine Lisznayi przejechała główną ulicę na psach Vanderlipa. Towarzyszyła reporterce gazety *Kansas City Star*, podczas fotografowania sławnych terenów bogacza, przyglądała się też powstawaniu sześćcio-kolumnowego artykułu na temat swego wybrańca, poczem uctowała po królewsku w domku panny Flossie i na panny Flossie obrusach. Następných dni zaczęły się odwiedziny, odprowadzania, spacery — co wywoływało ostre słowa mężczyzn i zazdrosne spojżenia kobiet. Tylko pani Epingwell nie chciała słyszeć o niczem. Doszły do niej coprawda głuche pogwarki złośliwych języków, lecz ona wolała zawsze wierzyć w to tylko, co dobre i zamykać uszy na zło; to też nie zwróciła uwagi na plotki.

Inaczej Freda. Nie miała również przyczyn do darzenia mężczyzn przyjaźnią i przez dziwny kaprys natury życzliwość jej szczególnem ciepłem ogarniała kobiety, których też, prawdę powiedziawszy, nie miała zaco kochać. A przecież serdeczną myślą wybiegała ku nieznaney Flossie, która w tej chwili mierzyła się z przenikliwym wiatrem północnego stepu, żeby dotrzeć do mężczyzny, który przestał już na nią czekać. Freda wyobrażała sobie Flossie jako łagodną, przytulną dziewczynę, o nieśmiałych, choć pełnych i świeżych wargach, rozwianych, słonecznych włosach i jasnych oczach, pełnych cieni niegłębokich smutków lub błysków drobnoukicznych radości. Nie mniej jednak widziała też dzielną Flossie o udręczonej przez mróz twarzyczce, stąpającą znu-

żonym krokiem za zaprzęgiem, co sunie po śnieżnym polu.

Z takich i tym podobnych myśli wynikł któregoś wieczoru podczas tańca czarowny uśmiech w kierunku pana Vanderlipa.

Niewielu jest mężczyzn tak stworzonych, aby obronić się mogli uśmiechowi Fredy; Vanderlip niewątpliwie nie należy do tych wyjątków. Łaska, jaką znalazł w oczach pięknej modelki, kazała mu ocenić należycie swe walory, tego zaś wieczoru, spotkawszy nęcący uśmiech greckiej tancerki, poczuł się podwójnie mężczyzną. Posiada — jak widać — wiele nieznanых dotychczas zalet i niedocenionych głębi, które obie te kobiety przeczuły. Jakie mianowicie były owe głębie i zalety, nie wiedział dokładnie szczęśliwy wybraniec, lecz pewien był, że istnieją i pozwolił sobie nawet na pewną dumę z ich powodu. Mężczyzna, który osiągnął powłóczyście spojrzenia dwóch tak niezwykłych kobiet, musi być mężczyzną wyjątkowym. Pewnego dnia, kiedy znajdzie wolną chwilę, będzie musiał usiąść spokojnie i rozważyć swą siłę; lecz teraz, właśnie teraz, brać będzie dary, które zsyła niebo. I oto drobna, cieniuchna jak igielka myśl wcisnęła się pomiędzy inne myśli: „pocóż, u Boga Ojca, posłało się po pannę Flossie!?” Floyd nie posiadał się z żalu. Rzecz prosta, Freda nie mogła wchodzić w rachubę. Liczne bowiem kopalnie Vanderlipa były najbogatszymi nad Bonanzą, on sam zaś — człowiekiem poważnym i na stanowisku. Zato taka Loraine Lisz-

nayi nadawała się doskonale na żonę w tych warunkach. Znała świat i życie, umiałaby czynić godnie honory domu i reprezentować dolary małżonka.

Lecz Freda uśmiechnęła się i nie przestawała uśmiechać i oto okazało się że Floyd Vanderlip spędza dużo czasu w jej towarzystwie. Kiedy wreszcie ona również przejechała na psach Vanderlipa po głównej ulicy Dawson, modelka poszła po rozum do głowy i przy pierwszym spotkaniu spróbowała podrażnić miłość własną świeżego miljonera nazwiskami znajomych książąt i kardynałów, oraz anegdotkami z dworskiego życia. Pokazała mu nawet pewien list, zatytułowany „Moja droga Loraine”, zakończony: „Twoja kochająca” i podpisany imieniem, jakie nosiła jedna z najprawdziwszych panujących królowych. Floyd Vanderlip zdumiewał się w głębi serca, czemu kobieta tak znakomita raczy poświęcać mu tyle czasu. Węgierka jednak prowadziła grę z całą umiejętnością, podsuwając przed oszołomione oczy wybrańca, pochlebne kontrasty i porównania pomiędzy nim, a szlachetnymi widmami swej wyobraźni. Poczciwy człowiek odchodził pijany samouwielbieniem i szczerze żałował świata, który nie poznał się na nim dotychczas. Freda postępowała bardziej kunsztownie. Jeśli pochlebiała, to nikt o tem nie wiedział. Jeśli gięła ku ziemi, to bardzo miękką ręką. Jeśli mężczyzna czuł, że Freda go ceni, nie był nigdy pewien, zaco i do jakich granic. Tak czy inaczej, trzymała moc-

no w cuglach Floyda Vanderlipa i dzień w dzień jeździła po mieście na jego psach.

Tu właśnie zaczyna się komedia omyłek. Szmer oburzenia rósł coraz głośniejszy, zdwojony teraz imieniem tancerki i wreszcie doszedł do uszu pani Epingwell. Ona więc również pomyślała życzliwie o biednej Flossie, która przez nieskończenie długie dni przemierzała pustynię śnieżną nóżkami, zaszytymi w mokassyny — i oto Floyd Vanderlip zaproszony został na herbatkę i zapraszany odtąd coraz częściej. Tym razem zabrakło oddechu szczęśliwcowi. Chodził pijany własną wielkością. Nigdy nie był mężczyzną tak upragnionym... ani tak nieszczęśliwym. Oto już trzy kobiety — i jakie trzy kobiety — walczą o jego duszę, czwarta zaś zdążyła zdaleka, aby go osiąść!

Wracajny jednak do pani Epingwell i jej omyłki. Poruszyła kiedyś sprawę Vanderlipa w rozmowie z Charley'em z Sitki, który niedawno sprzedał był kilka psów pięknej Greczynce. Nie wymieniła jednak żadnego imienia. Wyraziła się tylko: „Ta okr-r-ropna kobieta”, zaś Charley myśląc o Węgierce, powtórzył jak echo: „Ta okr-r-ropna kobieta”. Zgodził się też na zdanie pani kapitanowej, iż jest wielkim grzechem, jeśli kobieta staje pomiędzy mężczyzną, a dziewczyną, która ma go poślubić. „I taką dobrą dziewczynę” — ciągnęła pani. — „Nie wątpię, że jest bardzo dobra. I przybywa do kraju, gdzie niema ani jednej przyjaznej duszy. Trzeba jej pomóc”. Charley z Sitki obiecał swą pomoc

! odszedł, myśląc, jak złą kobietą jest owa Loraine Lisznayi, oraz jak złote serca mają pani kapitanowa i Freda, które tak się przejmują losem nieznanym Flossie.

Pani Epingwell miała sposób postępowania jasny i otwarty jak dzień. Charley'emu z Sitki przypadł w udziale zeszczyt upamiętnienia jej przejrzyściego wzroku, czystego głosu, niezachwianej szczerości i dzielności czynów. Umiała ostro zwiierać wargi, aby wydać rozkaz i zwykła była zdążać do celu najprostszą drogą. Tym razem jednak nie zdecydowała się na drogę bezpośrednią, czyli na rozmowę z Vanderlipem. Zato postanowiła zejść do miasta, by odwiedzić Fredę. Poszła w biały dzień, prosto do domu tancerki. Czuła się niedostępną dla złych języków, zarówno jak mąż jej, kapitan straży. Pragnęła zobaczyć tamtą kobietę, porozmawiać z nią bez przeszkód. Czemuż nie miały tego uczynić? Stała w głębokim śniegu przed domem tancerki na sześćdziesięcio-stopniowym mrozie i pertraktowała z jej służącą przez dobre pięć minut. Zaznała też po raz pierwszy w życiu przyjemności odejścia od czyichś drzwi. Poszła jak niepyszna z powrotem pod górę, nie posiadając się z gniewu z powodu obrazy, jakiej doznała. „Kim jest ta kobieta, że ośmiela się mnie nie przyjąć?”—pytała sama siebie. Czuła się tak, jakby sama była tancerką z music-hallu, odprawioną od drzwi żony naczelnika straży. A przecież pewną była, że gdyby Freda przyszła do jej domku na wzgórzu — nie-

zależnie od tego, kiedy i poco — przyjęłaby ją życzliwie, posadziła przy kominku i pogadałyby ze sobą jak dwie kobiety. Zlekceważyła konwenans, poniżyła godność własną, poto tylko, żeby przekonać się, że te kobiety z miasta są zupełnie inne, niż przypuszczała. Dręczył ją teraz wstyd, na który naraziła się sama. Bardzo gniewnie myślała w tej chwili o Fredzie.

A jednak Freda nie zasłużyła na to. Pani Epingwell zniżyła się, żeby spotkać ją, kobietę stojącą poza społeczeństwem, lecz ona właśnie, ceniąca tradycję swego dawnego życia — nie pozwoliła na to. Czuła się zdolną do uwielbiania takiej, jak pani Epingwell, kobiety i uważałaby sobie za wielkie szczęście przyjąć ją w swoim domu, posiedzieć obok niej choć godzinę, lecz szacunek dla pani Epingwell i szacunek dla siebie samej — stojącej jakgdyby poza szacunkiem ludzkim — nie pozwolił jej spełnić tego pragnienia.

Nie odzyskawszy jeszcze równowagi po niedawnej wizycie pani Mc Fee, żony ministra, która to matrona spadła na nią dnia pewnego jak istny huragan obelg i morałów — Freda nie rozumiała, o co też chodzić mogło pani kapitanowej. Nie miała na sumieniu żadnego świeżego przestępstwa, nie mogła zaś przypuszczać, żeby dama, stojąca u jej drzwi, przychodziła z wyrazami pochwały i przyjaźni. Więc pocóż w takim razie? Pomimo całej ciekawości, której nie mogła nie odczuć, Freda opancerzyła się godnością tych, co podobno godność

utracili i dygotała ze wzruszenia w głębi domu, ni-
by dziewczyna pod pierwszą pieszczotą kochanka.
Jeżeli pani Epingwell cierpiała, wracając do siebie,
niemniej dotkliwie cierpiała Freda, leżąc niemo na
łóżku i chowając w poduszki suche oczy i suche
wargi.

Pani kapitanowej nie brakło znajomości duszy
ludzkiej. Dążyła zresztą zawsze do zrozumienia
wszystkich i wszystkiego. Umiała wyrzec się na
chwilę kultury i spojrzeć na rzeczy barbarzyńskie-
mi oczyma. Nie wahała się dostrzedz zasadniczego
podobieństwa między uczuciami zgłodniałego wilka
i wyczerpanego głodem człowieka, a nawet prze-
widzieć potrafiła pewne wspólne linje ich postępo-
wania.

Dla pani Epingwell każda kobieta — w pur-
purze, czy w łachmanach — była przedewszystkiem
kobietą. Kobietą też była Freda. Pani Epingwell
umiałaby spędzić z tancerką przyjacielską godzin-
kę jak równa z równą, nie dałaby się też zgnębić
najbardziej wyzywającą zuchwałością. Ale odejść
z kwitkiem od drzwi — nie, to było zbyt nieprze-
widziane i niewygodne. Tym razem pani Epingwell
nie potrafiła pojąć czyjegoś punktu widzenia. Tem
lepiej zresztą. Istnieją na świecie pewne punkty
widzenia, których zdobyć nie można inaczej, jak
przez cierpienia i udręki. Niechże lepiej w tym wy-
padku zabraknie pani kapitanowej wszechstronności.
Niesposób bowiem pojąć grzechu, zanim się go nie
dotknie, a przecież nigdy nie braknie amatorów te-

go doświadczenia, Zresztą, to nie dotyczy nas w tej chwili. Dość, że niefortunna wizyta zrodziła oburzenie w sercu pani Epingwell, zwiększyła zaś cześć i podziw dla niej w sercu Fredy.

III

W ten to sposób stały rzeczy przez cały miesiąc. Pani kapitanowa starała się wyrwać zagrożonego mężczyznę ze szponów tancerki do czasu przyjazdu narzeczonej; Flossie mierzyła znużonymi krokami nieskończoność śnieżnej równiny; Freda mobilizowała wszystkie swe siły przeciwko modelce; modelka ze swej strony wytężyła każdy nerw, żeby wygrać wyścig; zaś pośród nich wszystkich — mężczyzna niby chorągiewka na dachu, bardzo dumny z samego siebie i noszący się teraz niby drugi Don Juan.

Nie winien jest nikt prócz samego Vanderlipa, że ostatecznie usidliła go Lorraine Lisznayi. Sposób uwodzenia dziewczyny przez mężczyznę bywa zbyt dziwny [i skomplikowany, żeby zrozumieli go widzowie, ale już sposób osaczenia mężczyzny przez kobiety przechodzi wogóle wszelkie pojęcie. Zresztą najmędrszy prorok nie byłby w stanie przepowiedzieć postępów Floyda Vanderlipa — o dwadzieścia cztery godziny naprzód.

Może ponęty modelki polegały na jej nieco zwierzęcej i mocno zębem czasu ruszonej, a jednak

niezaprzeczonej urodzie; może podbiła go szumnemi słowami o minionej pośród książęcych przepychów świetności; tak czy inaczej, oczarowała z kretelem mężczyzną, którego życie upływało w ciężkiej pracy pośród surowej przyrody i brutalnych ludzi. Dość, że zgodził się na jej projekt wycieczki w dół rzeki i wzięcia ślubu w Czterdziestej Mili. W tym celu zakupił psy u Charley z Sitki — niejedne sanie są potrzebne, kiedy taka kobieta jak Loraine Lisznayi rusza w drogę — poczem udał się do swoich terenów nad Bonanzie, żeby zostawić rozporządzenia na czas swej nieobecności.

Charley'emu oświadczył w sposób dość nieokreślony i mało stanowczy, że potrzebuje psów do wożenia drzewa na tartak. Lecz wtedy właśnie Charley z Sitki potrafił wykazać swój spryt! Zgodził się dostarczyć psy na dzień określony, lecz ledwie tylko Floyd Vanderlip zwrócił stopy swe w górę rzeki — zatroskany Charley zjawił się u pani Loraine Lisznayi. Czy nie wiadomo jej przypadkiem, dokąd udał się pan Vanderlip? Podjął się bowiem dostarczenia temu gentlemanowi pewnej ilości psów na dzień oznaczony, tymczasem ten bezwstydnym handlarz, ten podły niemiec, Meyers, wykupił wszystkie zwierzęta i zawładnął rynkiem. Charley musi bez zwłoki porozumieć się z panem Vanderlipem, inaczej zakup psów opóźni się o cały tydzień. Ach tak? Udał się w górę rzeki? Doskonale. Charley wyruszy w ślad za nim natychmiast i powiadomi go o tym fatalnym zbiegu okoliczności. Czyż być

może? Pan Vanderlip potrzebuje psów koniecznie na piątek wieczór? Bezwarunkowo. Nieodzwownie. Bardzo przykra historia, ale wszystkiemu winien ten bezwstydnik, który tak raptownie podbił ceny. Skoczyły o pięćdziesiąt dolarów na sztuce. A jeśli Charley kupi je po takiej cenie i zechce dotrzymać dawną umowę — sam bardzo na tem straci. Wątpi doprawdy, czy pan Vanderlip zechce tyle dopłacić. Ach tak? Napewno zechce? I szanowna pani będąc wielce przyjazną panu Vanderlipowi zechce nawet osobiście pokryć nadwyżkę? I pan Vanderlip nie będzie miał nic przeciwko temu? Szanowna pani jest nader uprzejmą, że tak dba o interesy pana Vanderlipa. Więc piątek wieczór, koniecznie? Dobrze. Psy będą punktualnie.

W godzinę później, Freda została powiadomiona o tem, co ma mieć miejsce w piątek wieczór. Vanderlipa jednak nie było w mieście, nie mogła więc nic przedsięwziąć.

W piątek rano, Devereaux, kurjer rządowy, przybył po łodzi, wioząc oficjalne listy od gubernatora. Prócz poczty rządowej, przywiózł też wieści o panie Flossie. Zwinęła już obóz swój przy Sześćdziesiątej Mili. Ludzie i psy były w doskonałej kondycji, wobec czego nie ulega wątpliwości, że podróżna przybędzie nad ranem. Pani Epingwell poczuła wielką ulgę, słysząc tę nowinę. Floyd Vanderlip bezpieczny był poza miastem, zanim zaś ta okropna tancerka grecka zdoła chwycić go znowu w swoje szpony — narzeczona będzie już przy nim. Lecz te-

goż popołudnia, wielki S-t Bernard kapitana, bro- niący zajadle drzwi frontowych, obalony został na ziemię gwałtownym atakiem jakichś obcych psów- Malemutów, najwidoczniej zgłodniałych i strudzo- nych drogą. Pozostał na ziemi ze trzydzieści sekund, poczem ochroniły go ciosy siekier z rąk kilku ros- łych ludzi. Gdyby wierny stróż pańskiego domostwa leżał był ze dwie minuty pod skłębionym, kosma- tym zwałem napastników, zostałyby uniesiony całko- wicie w żołądkach powyższych bestyj. Tak jednak jak sprawy stały, skończyło się na dobrem przetrze- paniu i zmagłowaniu. Sitka Charley został zavez- wany do naprawienia szkód, głównie zaś przedniej prawej łapy, która została złamana, albowiem o pa- rę sekund zbyt długo pozostała między zębami kos- matego napastnika. Kiedy Charley naciągał rękawice żeby wyjść, rozmowa zesła nagle na pannę Flossie, a co za tem idzie i na „tę okr-r-ropną kobietę”. Charley z Sitki wspomniał, że towarzyszyć ma nocy dzisiejszej panu Vanderlip w dół rzeki i, że wypadki z psami są w tej porze roku nader częste.

Tak więc myśli pani Epingwell na temat Fre- dy stały się bardziej nieżyczliwe niż kiedykolwiek. Nakreśliła bilecik, zaadresowała do pana Vander- lipa i wręczyła umyślnemu, który czekać miał na powrót adresata przy ujściu Bonanzy. Drugi posła- niec, zaopatrzony w liścik Fredey, czuwał już w tym samym punkcie strategicznym. Stało się więc, iż Floyd Vanderlip, sunąc sankami pod wieczór z bie- giem Bonanzy, otrzymał oba listy jednocześnie. Bi-

lecik Fredy podał bez wahania. Nie, nie pojedzie do niej. Ma ważniejsze sprawy tej nocy. Zresztą, Freda się nie liczy. Ale pani kapitanowa — to co innego. Musi spełnić jej ostatnie, w stosunku do niego, życzenie. A raczej ostatnie, jakie spełnić mu wolno. Tak, pojedzie na bal do gubernatora, żeby ją spotkać i wysłuchać, co ma mu do powiedzenia. Sądząc z tonu listu, będzie to coś bardzo ważnego; może — uśmiechnął się mimowoli, lecz nie odważył pomyśleć do końca. Razem wzięwszy — co za wściekle szczęście ma do kobiet! Popędził psy i pomknął ku swemu domowi. U gubernatora miała być maskarada, Floyd musiał więc jeszcze zdążyć przebrać się w kostjum, który wkładał był przed paru miesiącami na bal w Operze. Trzeba było również ogolić się i zjeść obiad. Tak oto okoliczności zrządziły, iż właśnie Floyd Vanderlip, jedyny zainteresowany, nie wiedział nic o zbliżaniu się panny Flossie.

— Proszę trzymać zaprzęg punktualnie o północy koło przerebła za szpitalem. Tylko bez opóźnienia! — rzucił milioner w kierunku Charley z Sitki, który wszedł właśnie z wiadomością, że już tylko jednego psa brakuje do kompletu i, że ten jeden zostanie zdobyty, zanim godzina upłynie. — Oto worek, oto wagi. Odważcie sobie należność i nie zajmujcie mi czasu, bo mi pilno na bal.

Charley z Sitki odważył tyle, ile mu się należało i odszedł, niosąc dla pani Lisznayi list, zawierający niewątpliwie prośbę, aby stawiła się punktu-

alnie o północy u przerębla za szpitalem. Tylko bez opóźnień!

IV

Freda dwukrotnie posyłała posłańca do sali balowej w koszarach, kiedy zabawa wrzała w całej pełni. Dwukrotnie jednak posłaniec wracał bez odpowiedzi. Wtedy rozgniewana Freda uczyniła to, co tylko Freda uczynić była zdolna: włożyła swe piękne futra, twarz zasłoniła maseczką i udała się osobiście na wielki bal urzędniczy. Na balach takich istniał pewien zwyczaj — niezbyt zresztą oryginalny, lecz surowo przez sfery oficjalne przestrzegany. Zwyczaj to był chwalebny, roztaczał bowiem opiekę nad kobietą tych sfer, otaczając ją możliwie najbardziej wyszukanem towarzystwem. W dzień maskarady wybierano specjalny komitet, który obowiązany był urzędować przy wejściu i zaglądać pod maskę każdej i każdego. Wyznać należy, że mężczyźni nie chętnie kandydowali do owego komitetu, ci zaś, którzy najmniej zaszczytu tego pragnęli, byli właśnie najbardziej pożądanymi. Kapitan we własnej osobie zbyt mało był osnajmiony z mniej lub więcej podejrzanymi obliczami „z miasta”, inni zaś, najbardziej czcigodni gentlemani, znajdowali się w podobnym położeniu, chociaż zapewne z miłą chęcią podjęliby się wyżej pomienionej funkcji. Zato cnotliwa pani Mc Fee zgodziłaby się zaryzykować swe zbawienie, wypełniając sobą miejsce

niezajęte w komitecie i uczyniła to nawet pewnej nocy, kiedy na bal wdarła się cichaczem jakaś nieproszona trójka i narobiła niemało zamieszania, zanim została zdemaskowana i usunięta.

Owego pamiętnego piątku, drzwi sali balowej pilnował Prince. Użyto przemocy i biedny Prince nie zdażył jeszcze oprzytomnieć i zrozumieć, jakim sposobem podjął się czynności, której sprawowanie pozbawiło go połowy przyjaciół, bynajmniej nie za cenę przypodobania się drugiej połowie. Z konieczności odmówił prawa wejścia trzem czy czterem mężczyznom, których poznał był doskonale w pracy i na szlaku — porządnym chłopom i dobrym kolegom, lecz może niedość wytwornym dla balu tak wybrednej elity. Rozmyślał właśnie, jakby się tu zrzec piastowanego urzędu, kiedy sylwetka kobieca weszła w krąg światła przed gmachem. Fredał Poznaby ją natychmiast po futrach, gdyby nie znał tego charakterystycznego, dumnego noszenia głowy. Miał o niej lepsze wyobrażenie! Nie przypuszczał, że zechce narażać się na przykrość odmowy, lub też — w razie przejścia — na pogardę kobiet. Bez wahania potrząsnął głową. Znał Fredę tak dobrze, że nie bał się omyłki. Ale tancerka nie raczyła się zatrzymać. Podniosła na mgnienie oka czarną, jedwabną maseczkę i natychmiast zapuściła ją znowu. Przez krótką, jak błyskawica, chwilę, Prince patrzył w twarz Fredy. Nie nadarmo mówiono, że piękna greczynka igra mężczyznami jak dziecko piłką. Nie padło ani jedno słowo. Prince usunął się na bok,

zaś w kilka chwil później zrezygnował skruszony ze stanowiska, na którym nie spełnił swego obowiązku.

*

Kobieta o wiotkich, smukłych kształtach, pełnych w każdym drgnieniu rytmu i siły, zbliżała się do tej i owej grupy i pośpiesznym, nerwowym ruchem wymijała tańczących, zdając się kogoś szukać. Mężczyźni poznali futra i dziwili się niepomierne... temu, kto pilnował drzwi. Woleli jednak udawać, że nie poznają. Kobiety — przeciwnie. Mając oczy bardzo wyrobione, dostrzegły odrazu, że oto zjawily się jakieś, bliżej im nieznane kształty i futra. Pani Mc Fee, wyłoniwszy się nagle z sali jadalnej, gdzie szykowano do kolacji, dostrzegła w szparze czarnego jedwabiu błysk wspaniałych a wyzywających czarnych oczu — i osłupiała. Próbowwała sobie przypomnieć, gdzie widziała już kiedyś podobne oczy i nagle stanęła jej w pamięci pewna dumna a zadowolona grzesznica, której ścieżki próbowała bezskutecznie prostować swego czasu. Cnotliwa niewiasta nie omieszkała więc postępować krok w krok za niespodzianem zjawiskiem i w ten sposób znalazła się nieuniknienie w towarzystwie pani Epingwell i Floyda Vanderlipa. Pani Epingwell schwyciła właśnie sposobność rozmowy z Don Juanem. Zdecydowała, iż teraz, kiedy panna Flossie jest tak blisko, można przystąpić wprost do rzeczy. Kilka sentencji na tematy etyczne drżało już na wargach pięknej pani, kiedy nagle przy pochylonej ku sobie parze stanął ktoś trzeci. Pani kapitanowa zau-

ważyła z przyjemnością lekki akcent cudzoziemski w krótkim „przepraszam bardzo”, którem smukła kobieta w pięknych futrach poprzedziła zagarnięcie Floyda Vanderlipa na swoją własność; pani kapitanowa skinęła uprzejmie, wyrażając zgodę na rozmowę tych dwojga nieco na uboczu.

W tej właśnie chwili dosięgła Fredę ręka sprawiedliwości, a raczej sięgnęła ku niej ręka czcigodnej pani Mc Fee, zdzierając czarną maseczkę z twarzy, oszołomionej napaścią, kobiety. Ciekawości licznych widzów ukazały się prześliczne rysy i płomienne, czarne oczy. Floyd Vanderlip stał oszołomiony. Sytuacja wymagała natychmiastowego wyjaśnienia ze strony mężczyzny, niestety jednak, mężczyzna sam nie bardzo wiedział, co się dzieje. Spoglądał więc tylko wokoło z wyrazem bezgranicznego zdumienia. Pani kapitanowa czuła się zmieszana. Nie pojmowała, o co chodzi. Wszyscy oczekiwali wyjaśnienia. Udzieliła go wreszcie czcigodna pani Mc Fee.

— Pani kapitanowo — zaskrzeczała swym celtyckim, wysokim i ostrym jak szpilka, głosem — miło mi bardzo zapoznać panią z Fredą Moloof, panną Fredą Moloof, o ile mi wiadomo.

Freda mimowoli zwróciła głowę w kierunku pani Epingwell. Z obnażoną twarzą czuła się jak w koszmarnym śnie, zupełnie naga pod ukłuciami spojrzeń zamaskowanych twarzy, otaczających ją zwartym kręgiem. Stała jak wpośród zgrai wilków, gotowych do skoku na ofiarę. A może ktoś czuje

litość w tej chwili? Na samą tę myśl Freda zeszywniała hardo. O, stokroć woli wzgardę tych ludzi! Silnego była serca. Dosięgnawszy swą zwierzynę pośrodku obcego stada, nie mogła teraz wyrzec się zdobyczy, choćby pod badawczemi oczyma dziesięciu pań kapitanowych.

Lecz oto pani Epingwell uczyniła rzecz dziwną i niespodziewaną. Ach, więc oto wreszcie jest owa sławna Freda, piękna tancerka i niszczycielka mężczyzn; oto kobieta, która odprawiła ją od swoich drzwi! Lecz w tejże chwili pani Epingwell poczuła osaczoną nagość Fredy tak wyraźnie, jakby swoją własną. Kto wie? Może przyczyną dziwnego postępku pani kapitanowej stała się jej iście saksońska niechęć do zmierzenia się ze słabszym wrogiem, może zdobyć chciała jeden atut więcej w walce o mężczyznę, może zresztą jedno i drugie; dość, że kiedy zabrzmiał piskliwy głos pani Mc Fee, drżący chytrą złośliwością i Freda obejrzała się odruchowo — pani Epingwell zwróciła się ku niej, podniosła maskę i uprzejmym ruchem głowy powitała nową znajomą.

Jeszcze jedno starcie, błyskawicznie krótka chwila, kiedy obie kobiety skrzyżowały spojrzenia. Jedna z rozpalonemi zuchwałością oczyma, zawczasu pijąca w tej chwili gorycz pogardy licznych oczu i własnej niesprawiedliwej śmieszności, ściągniętej na siebie lekkomyślnie choć dobrowolnie: ciałem i duszą piękny posąg z lawy ognistej. Druga o jasnym wejrzeniu, spokojnem czole, brwiach nieru-

chomych, cała jakby przeświecona światłem wewnętrznym; silna własną godnością, pełna wiary w siebie, chociaż nie dumna; nie targana namiętnościami, nie znająca rozterek: rzeźba cyzelowana z chłodnego choć różowego marmuru. Jeśli nawet ponizła się w oczach ludzi tem jednym skinieniem głowy, czyniła to poprostu i jakby nieświadomie. Żadnej łaski, żadnego przrzucania mostów; niezmacone poczucie zupełnej równości; naturalny i niezaprzeczony grunt wspólnej kobiecości. To właśnie rozgniewało Fredę. Nie rozgniewałoby jednak, gdyby miała mniej godności. Nie potrafiła przecież zstąpić aż do tej głębi, w której poczęła się prostota pani Epingwell. „Dlaczego nie cofasz się, żeby przypadkiem końcem szaty nie dotknąć zapowietrzonej?” — miała ochotę krzyknąć podczas tej chwili błyskawicznie krótkiej, pełnej napięcia i ognia w spojrzeniach. „Pluń mi w oczy! Wolę to, niż tę uprzejmość z litości!” Dygotała całym ciałem. Nozdrza chwyciły powietrze. Wzięła się jednak w cugle, oddała grzeczny ukłon i spokojnie zwróciła głowę ku mężczyźnie.

— Proszę pójść ze mną — wyrzekła poprostu. — Mam panu coś ważnego do powiedzenia.

— Cóż za — wybuchnął wreszcie Vanderlip i równie prędko zamilkł, dość dyskretny przecież, żeby nie ryzykować wyjaśnień. Gdzież, u licha, podział się cały jego spryt? Odchrząknął raz i drugi, przełknął ślinę, poruszył ciężko, a zbytecznie wielkie ramiona i niemniejsze swe zakłopotanie, poczem

błagalnie, a kolejno spoglądać począł na obie kobiety.

— Bardzo przepraszam, chwileczkę, czy mogłabym rozmówić się przedtem z panem Vanderlipem? — zabrzmiał miękki, melodyjny jak fletnia, a przecież rozkazujący głos pani Epingwell.

Mężczyzna spojrział z wdzięcznością na wybacicielkę. Właśnie to samo chciał zaproponować.

— Bardzo mi przykro — Freda na to. — Ale sprawa jest pilna. Pan Vanderlip musi iść ze mną natychmiast. — Konwencjonalne zdania spływały łatwo z jej warg, chociaż czuła doskonale całą ich czczość i niedorzeczność. Wolałaby krzyknąć w tej chwili.

— Ależ panno Moloof, kimże pani jest dla pana Vanderlipa, żeby posiadać prawo kierowania do tego stopnia jego krokami?

Wyraz nagłej ulgi rozlał się na twarzy biednego Vanderlipa. Próbował zamruczeć nawet jakieś słowo aprobaty. No, przynajmniej kapitanowa wyciągnie go z tych tarapatów. Tym razem trafiła jednak kosa na kamień.

— Ja... ja... zawahała się Freda, poczem instynkt kobiecy podpowiedział jej broń najłatwiejszą: odwrócenie sytuacji. — A kimże jest pani, żeby zadawać mi podobne pytania.

— Ja? Jestem tylko panią Epingwell i —

— Właśnie! — przerwała ostro tamta. — Jest pani żoną kapitana, który, co za tem idzie, jest pa-

ni mężem. Ja jestem tylko tancerką. Co pani może mieć wspólnego z tym oto mężczyzną?

— Cóż za niebywała zuchwałość! — ulżyła sobie pani Mc Fee i chciała ruszyć na pomoc, lecz pani Epingwell zamknęła jej usta jednym spojrzeniem i spróbowała zaatakować Floyda z innej strony.

— Wobec tego, iż panna Moloof zdaje się uważać pana za swoją niezaprzeczoną własność, panie Vanderlip, i nie pozwala panu udzielić mi kilku minut czasu — próbuję zaapelować bezpośrednio do pana. Czy mogę mówić z panem natychmiast i bez świadków?

Czcigodne szczęki pani Mc Fee klapnęły zgorżone. To przyspieszyło rozwiązanie niewdzięcznej sytuacji.

— Rzecz prosta... hm... czemużby nie... naturalnie... — wyjąkał osaczony zwierz. — Natychmiast, z miłą chęcią... — zapalał się coraz bardziej ku nadziei wybawienia.

Mężczyźni są jednak tylko pewnym rodzajem wysoce rozwiniętych kręgowców. Piękna tancerka umiała dobrze dawać sobie radę z tą dzikszą odmianą gatunku ludzkiego. Zwróciła na mężczyznę swe niezrównane oczy, pełne w tej chwili wzbudzonych fal piekieł, niby poskromicielka zwierząt na oswojonego lwa, który przez chwilę poddał się zdumieniu, że jest wolny. Zwierzę męskie natychmiast liźnęło rękę, wznoszącą ramię.

— To znaczy... hm... tak... nieco później może. Najlepiej jutro, łaskawa pani kapitanowo; tak

jest, najlepiej jutro. To właśnie chciałem wyrazić...

Pocieszał się myślą, że jeśli zostanie, wywoła jeszcze więcej kłopotów i zamieszania. Pamiętał też, że punktualnie o dwunastej stawić się ma u przełębla. Bogowie! gdyby nie to, nigdy nie poddałby się byle Fredzie.

— Miło mi będzie podziękować pani za moją maskę...—zwróciła się Freda do pani Mc Fee. Onie miała matrona oddała bez słowa żądany przedmiot.

— Dobranoc, panno Moloof. — (Pani Epingwell była królewska nawet w chwili porażki).

Freda odpowiedziała tem samem, chociaż z trudnością pokonała w sobie chęć rzucenia się do nóg tej kobiecie i błagania o przebaczenie — nie, nie o przebaczenie, lecz jak gdyby o coś innego, czego niemniej gorąco pragnęła.

Mężczyzna chciał ująć ją pod rękę; lecz Freda wyrwała swą zdobycz z pośród obcej zgraji i to poczucie, które każe zwycięzcom wlec zwyciężonych za swym rydwanem — poprowadziło Fredę samą ku drzwiom, podczas gdy Floyd Vanderlip włókł się za nią, próbując po drodze odzyskać równowagę duchową.

V

Cierpki mróz chwycił tego wieczoru. Do domku Fredy było nie więcej jak ćwierć mili, lecz wilgoć oddechów zdążyła zakrzepnąć na policzkach

kobiety i wąsach mężczyzny, utrudniając rozmowę. Przy zielonawem świetle zorzy północnej widać było, że rtęć zamarzła w termometrze, wiszącym u drzwi. Setki psów żałośnym chórem błagały zlitowania i skarżyły się na stare niedole obojętnym gwiazdom. Nie drgnął najłżejszy powiew wiatru. Nigdzie schowania przed chłodem, nigdzie ciepłego kąta! Mróz był wszędzie i biedne psy leżały pod gołym niebem, rozprostowując znużone pracą łapy i wyjąc wilczym głosem.

Kobieta i mężczyzna, wszedłszy do mieszkania, nie odrazu zaczęli rozmowę. Podczas gdy pokojówka pomagała Fredzie zdjąć futro, Floyd Vanderlip dorzucił dREW do kominka, kiedy zaś służąca wyszła, zajął się roztapianiem przy ogniu sopli lodowych, obciążających mu wąsy. Potem zwinął sobie papierosa i leniwie przyglądał się kobiecie poprzez mgliste kłęby dymu.

Freda rzuciła okiem na zegar. Do północy brakowało jeszcze pół godziny. Jak zatrzymać tego mężczyznę? Czy się gniewa? W jakim jest usposobieniu? Jaki sposób będzie najskuteczniejszy? Nie wątpiła w swoje siły. Nie, bynajmniej. Ostatecznie tak czy inaczej, zawsze zatrzymać go potrafi do czasu, aż Charley z Sitki spełni swoje zadanie, zaś Devereaux — swoje.

Tak, sposobów na Vanderlipa nie brakło. Uświadomiwszy to sobie, Freda poczuła ku niemu nagle ostrą, a pogardliwą niechęć. Usiadłszy spokojnie z głową opartą na dłoni, ujrzała niespodzianie prze-

lotną wizję swej wczesnej, dziewczęcej młodości, wraz z jej tragicznym zakończeniem. Przez krótką chwilę miała ochotę opowiedzieć swą historję temu oto obcemu mężczyźnie ku pouczeniu. Boże! Nie byłby chyba człowiekiem, gdyby go nie zatrzymało to straszliwe opowiadanie, zamknięte w takie słowa, jakie tylko ona znaleźćby mogła, lecz — nie! Nie był tego godzien. Nie był wart odnawiania jej bólu.

Świeca stała w ten sposób, że podczas gdy Freda przesuwiała w myśli wspomnienia pełne dla niej wstydu i świętości — Floyd podziwiał dowoli różową przejrzystość jej drobnego ucha. Zauważyła to, powzięła doczyję i po chwili odwróciła głowę tak, żeby na jasnym tle odciał się cały jej czysty profil. Profil ów nie był ostatnim z pośród atutów pięknej greczynki. Nie mogła zmienić linii, w których wymodelowała ją natura, i które były zresztą nader udatne, umiała zato z wyszukaną zręcznością ukazywać je zawsze w najlepszym oświetleniu. Świeca zaczęła mrugać. Ruchom Fredy nigdy nie brakło wdzięku, a przecież postarała się wdzięk ten podkreślić, sięgając ku świecy i wyjmując czerwona iskrę knota z pośród żółtego płomienia. I znowu główkę oparła na dłoni, tym razem patrząc głębokimi oczyma prosto w źrenice zdobyczy. Czyż którykolwiek mężczyzna może pozostać niewzruszony, kiedy piękna kobieta spogląda w ten sposób?...

Fredzie nie zależało na pośpiechu. Jeżeli on wolał odwlec rozmowę, tem bardziej wolała ona. Floyd czuł się doskonale, zaciągając dym papiero-

sa, w ciepłej zacisznej komnatce, przy boku uroczej kobietki. Na dworze kasał mróz przeraźliwy i od przerebła za szpitalem zacząć się miała długa i ciężka droga. Czuł, że powinien się gniewać na Fredę za scenę, do której doprowadziła na balu. A przecież nie mógł jakoś odnaleźć w sobie gniewu. Właściwie, nie byłoby żadnej sceny, gdyby nie ta baba Mc Fee. Gdyby był gubernatorem, wygnałby starą papugę wraz z całym jej rodem i dworem, gdzie pieprz rośnie. Zato Freda zachowała się jak światowa dama. Nie straciła kontenansu nawet wobec pani Epingwell. Zresztą odwagi nie brakło jej nigdy. Spoglądał teraz na dziewczynę coraz tęskliwiej i goręcej, raz poraz oczyma wracając ku oczom, w których nieprzeniknionej głębi kryło się niewątpliwie równie głębokie uczucie. Na Jowisza! Jakaż ona ładna! Czemu tak patrzy! Czy również chciałaby zostać jego żoną? Zapewne. Niestety, przecież — nie ona jedna. Takie spojrzenie może przecież niemało... Hm, młoda, znacznie młodsza od Loraine Lisznayi. Jakies dwadzieścia trzy, cztery. I przytem taka kobieta nigdy nie utyje, to widać odrazu. O Lorainie zato powiedzieć tego nie można. Niewątpliwie waży grubo więcej od czasu, kiedy pozowała do obrazów. No, możnaby ją postawić na narty, żeby torowała drogę. Ten środek nie zawodzi nigdy. Ale... tu myśl Vanderlipa wybiegła naprzód ku pięknemu pałacowi, który zakupić mieli pod ciepłym niebem południa. Co będzie wtedy? Ani mrozu, ani śniegu, ani nawet głodówki dla

urozmaicenia jednostajności życia — i w dodatku żona, starsza i bardziej zasobna z każdym wschodem słońca! Zato ta dziewczynka Freda! Vanderlip pożałował gorzko, że nie było mu dane urodzić się pod flagą proroka — i wreszcie powrócił myślą na Alaskę.

— A więc? — rzucił nagle. Obie wskazówki zegara wyciągnęły się sztywno, wskazując północ. Najwyższy czas żegnać się i śpieszyć na miejsce spotkania koło przerębla.

— O! — westchnęła Freda, jakby wyrwana z zamyślenia, czarując mężczyznę tym starym jak świat sposobem kobiecym. Jeżeli bowiem mężczyzna skłonny jest wierzyć, iż dana kobieta, spoglądając nań pełnemi wyrazu oczyma, o nim to właśnie zamyslić się potrafiła tak głęboko — musi chyba posiadać wyjątkowo zimną krew, żeby zachować zupełną równowagę, ogłosić swą neutralność i sterować wprost przed siebie.

— Chciałbym się dowiedzieć o czem pani życzyła sobie mówić ze mną? — wyjaśnił, zbliżając ku niej swe krzesło.

— Floyd — spojrzała przeciągle w oczy mężczyzny. — Jestem zmęczona swoim życiem tutaj. Chciałabym wyjechać. Nie wytrzymam tu do wiosny. Wiem, że umrę, jeśli spróbuję zostać. Wiem napewno. Chcę porzucić wszystko i wyjechać. Ale natychmiast. W tej chwili.

W niemej prośbie położyła rączkę na jego ramieniu. Ramię odwróciło się i skwapliwie uwię-

ziło rączkę. „Jeszcze jedna” — przemknęło przez myśl Vanderlipa — wprost rzuca mi się na szyję. Przypuszczam, że Loraine nie obrazi się zbytnio, jeśli jeszcze trochę zmarźnie w nogi przy przeręblu”...

— A więc? — tym razem ze strony Fredy, lecz słodko i bojaźliwie.

— Sam niewiem, co odpowiedzieć... — pośpieszył odrzec Floyd, czując że odpowiada jeszcze skwapliwiej, niż miał zamiar. — Byłoby to mojem najgorętszem życzeniem, kochana Fredo. Sama wiesz o tem doskonale... — Scisnął czule jej rękę, dłoń przy dłoni.

Skinęła głową. Czyż nie miała słusności, pogardzając rodem męskim?

— Ale... widzisz, kochanie... jestem właściwie zaręczony. Słyszałaś coś zapewne. Ta panienka przyjeżdża tutaj, żeby wziąć ze mną ślub. Sam niewiem, co mię zamroczyło, kiedym się oświadczał, ale to już stara historia, uważasz,... byłem wtedy taki młody...

— Chcę wyjechać z tego kraju bezwarunkowo i gdziekolwiek — ciągnęła z całą bezwzględnością Freda, jakby nie racząc zauważyć przeszkody, którą osłaniał się atakowany. — Przebiegałam w myśli długo wszystkich znajomych mężczyzn i zdecydowałam wreszcie...

— Że ja jestem najlepszy?

Uśmiechem wyraziła mu wdzięczność, zato, że jej oszczędził wyznania. Przyciągnął jej główkę ku sobie i nagle delikatny zapach kobiecych włosów.

dosięgnął jego nozdrzy. W tej samej chwili zrobił cudowne odkrycie: oto pośród złączonych dłoni, kołatało wspólne tętno. Zjawisko to, nader proste dla fizjologa, staje się odurzająco cudownem dla mężczyzny, który spotyka je poraz pierwszy. Floyd Vanderlip częściej ujmował łopate, niż dłoń kobiety, doświadczenie to było więc jeszcze stokroć cenniejsze i bardziej niespodziewane. Kiedy zaś czarodziejka położyła mu główkę na ramieniu, muskając włosami policzek i oczy topiąc w oczach — oczy świetliste, słodkie, rzewne — ach, czyjaż było wina, że tracić począł przytomność? Zdradził już Flossie — czemuż nie może zdradzić Loraine? Zresztą jeżeli ma wybierać, pocóż się tak spieszyć z wyborem? Złota ma wbród, Freda zaś jest wystarczająco piękna, żeby stworzyć urok i cenę tych skarbów. Inni mężczyźni będą mu zazdrościć takiej żony. Ale idźmy powolutku. Bądźmy raczej ostrożni.

— Hm... czy ty tylko aby... nie dbasz zbytnio o... pałace?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Otóż... wyobraź sobie... ja sam miałem na nie ochotę, ale przed chwilą właśnie doszedłem do wniosku, że człowiek starzeje się i tyje w takim jednostajnem, leniwem życiu.

— O, tak, to dobre na pewien czas, ale pewna jestem, że to się musi znudzić — pośpieszyła potwierdzić Freda. — Świat jest piękny i życie powinno być wielostronne. To twarde i surowe, to znów spokojne i wygodne. Jakaś przejażdżka yach-

tem po morzach południowych — potem krótki łyk Paryża — zima w Ameryce Południowej, lato w Norwegji; parę miesięcy w Anglji —

— Wyszukane towarzystwo —

— Rzecz prosta — najlepsze; a potem, hej hal Psy, sanki i zatoka Hudsona! Jak najwięcej zmian. Silny mężczyzna, pełen werwy i energii nie może mieszkać w pałacu przez krągły rok. To dobre dla zniewieściałych i niedołącznych, ale tyś stworzony nie dla takiego życia. Ty jesteś mężczyzną, prawdziwym mężczyzną.

— Tak myślisz?

— To wcale nie wymaga myślenia. Wiem. Czyż nie zauważyłeś, że łatwo ci było zdobywać względy kobiet?

Wątpliwa niewinność Floyda była wspaniała.

— Bardzo łatwo, nieprawdaż? A wiesz dlaczego? Właśnie dlatego, że jesteś męski w każdym calu. Uderzasz w najczulsze struny kobiecego serca — duży, odważny, silny, krótko mówiąc — prawdziwy mężczyzna.

Rzuciła okiem na zegar. Pół godziny po terminie. Charley'owi z Sitki wyznaczyła równe trzydzieści minut na wykonanie zadania. Teraz jest już rzeczą obojętną, czy spóźni się Devereaux. Rola — spełniona. Freda podniosła główkę, uśmiechnęła się skrycie, uwolniła dłonie z męskiego uścisku, wstała i zawołała służącą.

— Alicjo, pomóż panu Vanderlipowi włożyć futro. Rękawice leżą na kominku.

Gość nie rozumiał.

— Miło mi bardzo podziękować panu za jego uprzejmość. Czas, który mi pan poświęcił, miał dla mnie istotnie bardzo wielką wagę. Pierwszy zakręt na lewo — wprost do przerębla za szpitalem. Dobranoc. Idę spać.

Floyd Vanderlip użył kilku nader mocnych słów dla wyrażenia swego gniewu i zmieszania. Alicja, która nie lubiła słuchać, jak klną mężczyźni, rzuciła futro na ziemię, rękawiczki umieściła na wierzchu futrzanej góry — i uciekła. Wtedy, wystrychnięty na dudka, milioner zaatakował Fredę. Chciała pierzchnąć, ale potknęła się o futra i przewróciła na miękki stos. Mężczyzna, pełen wściekłości, podniósł ją brutalnym chwytem za rękę. Ale Freda śmiała się tylko. Mężczyźni (nie są straszni. Zawsze byli dla niej źli, a przecież przetrwała.

— Nie warto się złościć — powiedziała wreszcie, spoglądając na swą uwięzioną rękę. — Zdecydowałam, że jeszcze nie pójdę spać. Proszę siadać i rozgościć się, zamiast robić awantury. Są może jakie pytania?

— Rzecz prosta, moja pani, są i pytania. — Floyd nie puszczał ręki. — Co wiesz o przeręblu? Co miało znaczyć... a zresztą nie, to później Odpowiesz mi po kolei.

— O, nic wielkiego. Charley z Sitki ma tam randkę z kimś, kogo znasz dobrze. I bojąc się szkód ze strony mężczyzny tak sławnego ze swych konkiet, prosił, żebym zechciała pomódz mu łaska-

— wie Oto wszystko. Dobre pół godziny temu odjechali razem —

— Dokąd? W dół rzeki? Beze mnie? Z Indjaninem?

— O, cóż chcesz, mój drogi, kobiety mają gusta tak różnorodne...

— Ale jakżeż ja wyszedłem na tem wszystkim, u licha? Straciłem ze cztery tysiące dolarów na psach i nie byle jaką kobietę i cóż będę miał za to? Chyba ciebie — dodał po chwili. — Uważałbym nawet, że kupiłem tanio.

Freda wzruszyła ramionami.

— Wobec czego bądź gotowa. Wychodzę, żeby pożyczyć kilkanaście psów. Możemy wyruszyć za godzinę.

— Bardzo mi przykro, ale tym razem naprawdę idę spać.

— Pakujesz się natychmiast, jeśli sama sobie dobrze życzysz! Możesz iść spać, albo nie iść, ale kiedy sanki zajadą przed dom, maszerujesz do sank — i kwita.

Ścisnął jej rękę aż do bólu, lecz na ustach Fredy jawić się począł leciuchny uśmiezek. Nasłuchiwała jakichś odgłosów z ulicy. Rozległo się poszczekiwanie psów, jakiś ostry głos męski skomenderował: „Haw”, sanie wypadły z za zakrętu i stanęły pod gankiem.

— Teraz zapewne pozwoli mi pan pójść spać?... Mówiąc to, Freda otworzyła naoścież drzwi. W ciepło izdebki wtargnął mróz. Na progu, otulona

w zniszczone podróżą futra, półosłonięta parą oddechów, odcięta puszystym konturem na tle zielonej zorzy — zawahała się kobieta. Podniosła futrzaną przyłbicę i stała, spoglądając olśnionemi oczyma w białe światło świecy. Floyd Vanderlip wystąpił naprzód.

— Floyd! — zawołała z radosną ulgą i zmęczonym ruchem rzuciła się w męskie ramiona.

Czyż mógł nie ucałować puszystego tobołka, którego pełne miał ręce? A tobolek był śliczny i przytulny, nieco ciężki, lecz mocno szczęśliwy.

— Jakże miło z twojej strony — zaszczebotał tobolek — żeś przysłał po mnie [pana Devereaux ze świeżemi psami. Gdyby nie on, przyjechałabym dopiero jutro...

Mężczyzna spojrział tępo na stojącą zdaleka Fredę, potem nagle rozświetliło mu się w głowie: — To raczej miło ze strony Devereaux, że zechciał pojechać...

— Nie mogłeś już czekać ani chwili dłużej... czy tak, kochany?... — Flossie wtuliła się mocniej.

— Hm tak, stawałem się już istotnie nieco niecierpliwy — wyznał wymijająco, biorąc ją nagle za rękę i wychodząc z tego domu.

Owej nocy niezrozumiała przygoda zdarzyła się wielebnemu Jamesowi Brown, misjonarzowi, który zamieszkiwał pośród krajowców o kilka mil poniżej i pilnie baczył, aby ścieżki tych maluczkich wiodły prościuteńko do raju białego człowieka. Oto Wielebny zbudzony został ze snu przez jakiegoś nie-

znajomego Indjanina, który oddał pod opiekę duchowną nie tylko ducha, lecz nawet ciało jakiejś kobiety, co uczyniwszy, odjechał czempredzej.

Kobieta była niezłej tuszy, wspaniałej urody i wielkiej złości. Nieczyste słowa padały z jej pięknych ust. To zgorszyło i oburzyło czcigodnego, lecz młody był jeszcze i, co za tem idzie, obecność kobiety mogłaby stać się dlań nader zgubna (zwłaszcza w oczach prostaczków) gdyby nieproszona piękność nie wyruszyła była sama piechotą do Dawson o pierwszym brzasku dnia.

Sensacja doszła do Dawson znacznie później, wtedy mianowicie, kiedy jego mieszkańcy, skupieni na brzegu rzeki, czcili pewnego dnia letniego jedną z królewskich dam Windsoru — patrząc jak Charley z Sitki wznosi lśniące wiosło i pierwszy przybywa do mety. Tego to pamiętnego dnia wyścigów, pani kapitanowa Epingwell poraz pierwszy spotkała Fredę od czasu balu u Gubernatora.

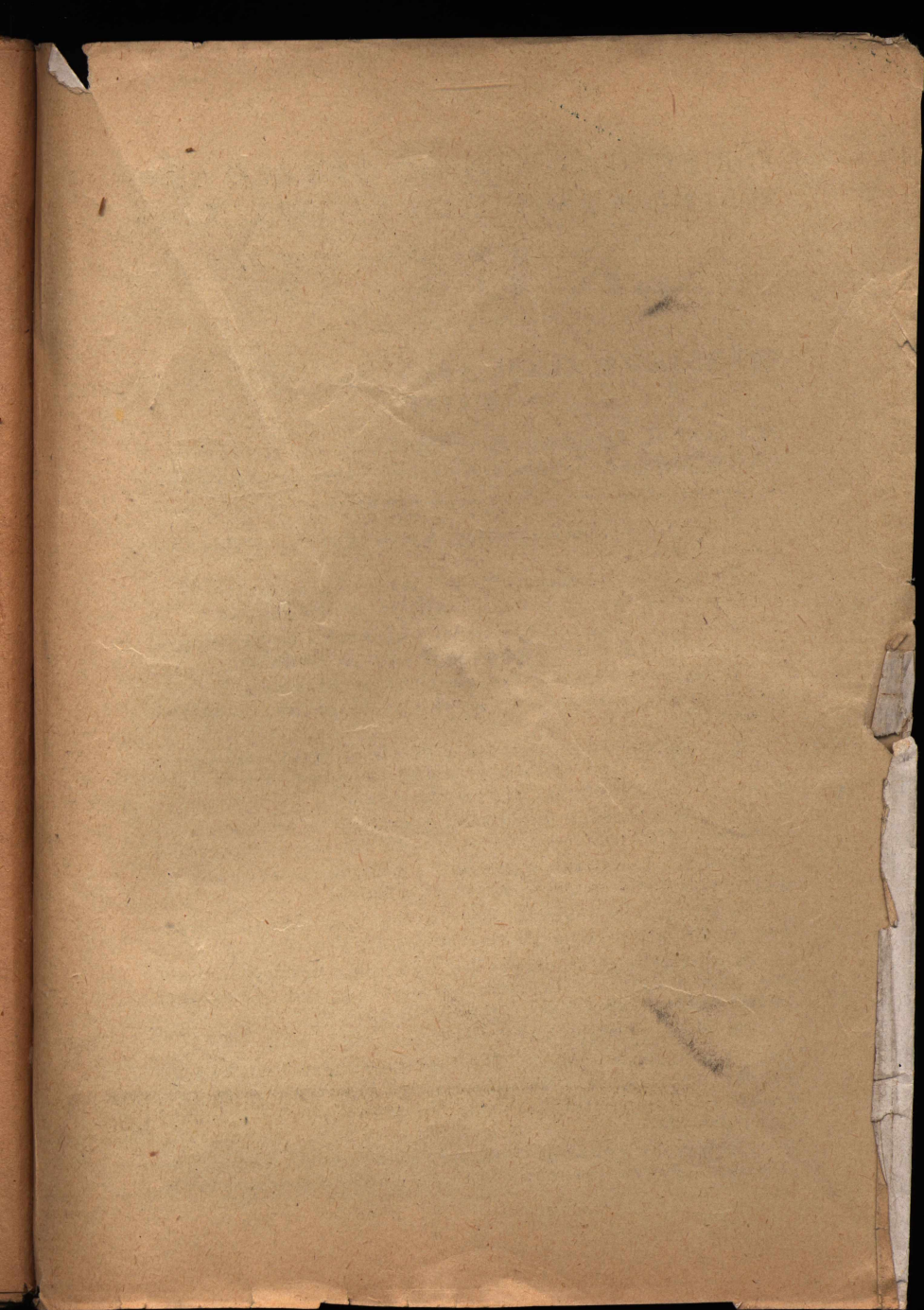
— „Publicznie, proszę sobie wyobrazić” — malowała to z czasem nieoceniona pani Mc Fee, „bez żadnych względów należnych moralności społecznej” pani Epingwell podeszła do tancerki i wyciągnęła ku niej rękę. W pierwszej chwili dziewczyna cofnęła się odruchowo (jak powiadają naoczni świadkowie), potem obie kobiety zamieniły ze sobą kilka słów, wreszcie Freda, dumna Freda, przytuliła się z płaczem do ramienia kapitanowej. Publiczności nie danem jest wiedzieć, czemu jasnowłosa dama przeproszała za coś gorąco grecką tancerkę, fakt

jednak pozostaje faktem, że uczyniła to publicznie i niewątpliwie.

Nie należy zapominać o pani Mc. Fee. Uważała ona za stosowne zakupić kajutę na pierwszym odchodzącym z Dawson parowcu. Zabrała ze sobą własną teorię życiową, wypracowaną zapewne podczas ciemnych nocy długiej zimy. Teoria ta wywodzi, iż Północ jest i będzie grzeszna i w grzechu ztwardziała, albowiem strach przed ogniem piekielnym nie może zakorzenieć się pośród lodów. Trąci to nieco dogmatyzmem, nie przeczę, niemniej jednak jest oryginalną teorią pani Mc Fee.

KONIEC.

W. H. Newman



CO POSIADAJĄ DO SPRZEDAŻY
KSIĘGARNIE KOLEJOWE T-wa

„RUCH”

SPÓŁKA AKCYJNA

WARSZAWA, ALEJE JERUZOLIMSKIE Nr. 63

(DOM WŁASNY)

POZNAŃ, ul. Ratajczaka 36. — KRAKÓW, ul. Szczepańska 9
LWÓW, Zielona 6. — GDAŃSK, Kaszubski Rynek 21. — KATOWICE

1) bogaty bezkonkurencyjny wybór gazet i czasopism z całej Polski;

2) aktualne wydawnictwa pism zagranicznych, — a więc: francuskie, angielskie, rosyjskie, niemieckie etc.;

3) bogaty dział beletrystyki polskiej i zagranicznej; oraz wszelkie nowości literackie, książeczki „Roju”;

4) potrzebne w podróży materiały pisemne, a więc, notesy, notatniki, kalendarze, ołówki, teczki, papiery, pocztówki albumy, etc. etc.;

5) najnowsze wydawnictwa z dziedziny krajoznawstwa, a więc: mapy Polski, Europy, mapy kolejowe, województw, plany miast i ich okolic, przewodniki;

6) Pamiętniki z podróży: pocztówki miast, zwyczajne, kolorowe, artystyczne, albumy w oprawie zwykłej i drogocennej;

7) wybór krajowych zabawek o charakterze swojskim podług oryginalnych wzorów artystów polskich;

8) broszury o treści aktualnej z dziedziny życia gospodarczego, przemysłowego, skarbowości polskiej i t. p.;

9) Żurnale mód najnowsze, francuskie, wiedeńskie i polskie, wydawnictwa z dziedziny krawieczyzny damskiej, gotowe kroje z bibułki do szycia w domu;

10) mydła, perfumy, wodę kołońską, etc.;

11) najnowsze wydanie **Urzędowego rozkładu jazdy** oraz małych rozkładów jazdy: Wielkopolskiego i Pomorskiego, Górnośląskiego, węzła Warszawskiego i Wschodnio-Małopolskiego;

12) Wyroby Polskiego Monopolu Tytoniowego, jako to: **papirosy, cygara, tytonie etc.** — po cenach normalnych.